

za bzdura
- opłaty
za studia

Mazowiecki
w Debatach
Havlowskich

Guantanamo
ma przyszłość,
niestety

Scenarzysta „Kancza” :
Czas na mocny serial
o Kościele

PRZE KROJ



Niewidzialna

4 (3473) / 23 STYCZNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT



rynku

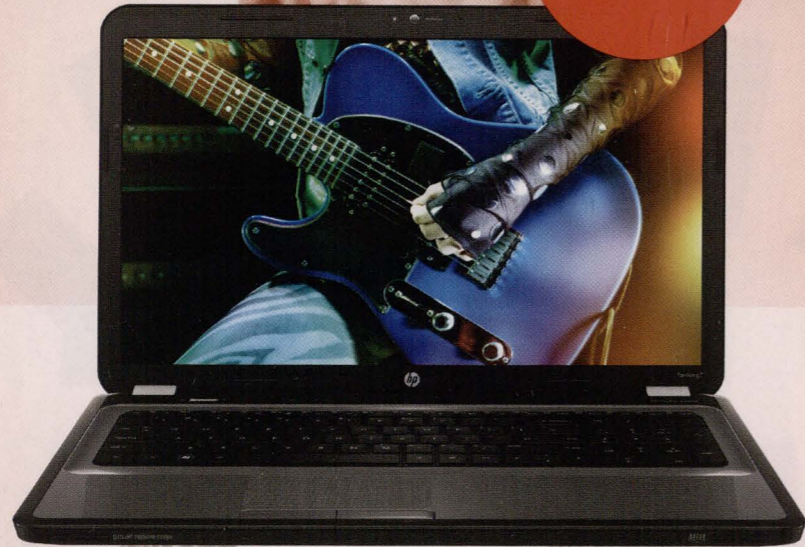
Kłócimy się o film, czyli o kapitalizm

ISSN 1744-24



04 >

wszystkie chwyt
dozwolone



Wejdź do sieci, uporządkuj i pokaż innym swoje zdjęcia, porozmawiaj z rodziną, zrób zakupy lub załatw jakieś drobiazgi. Niezależnie od tego, czy chodzi o pracę, czy rozrywkę, możesz szybko skorzystać z najważniejszych codziennych funkcji.

HP Pavilion G7-1210sw

Z procesorem Intel® Core™ i3-2330M

2099,-

SFERIS

Everybody On **hp**

więcej nowości HP w sklepie internetowym SFERIS.PL



PRZEKROJ

Założony w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Elle

„Przekrój” w sieci

OLAF SZEWCZYK

Listy do redakcji:

Wielce Szanowny Panie Stanisławie Brontozaurze!

W pierwszych słowach mego listu chcę wyznać, że jest Pan moim herosem, światelkiem nadziei w mrocznym tunelu, mym duchowym – jeśli wybaczy Pan śmiałość – bratem, a może i ojcem.

Na opisach Pańskich przygód uczę się życia, dzięki nim dojrzewam, by stać się lepszym człowiekiem. Niewątpliwie ktoś taki jak Pan ma duże wpływy w redakcji „Przekroju”, choć z pewnością nieadekwatne do Pańskich imponujących możliwości. Proszę pozwolić mi powiedzieć, że to Pan – tak, Pan, panie Stanisławie!

– powinien być naczelnym „Przekroju”, a nie jakiś tam Kurkiewicz! Pan mógłby być naczelnym wszystkiego! Tak właśnie, niech Pan nie waży się przez skromność zaprzeczać! Wierzę, że zaciekawi Pana załączony tekst, w którym klarownie wyjaśniam przyczyny światowego kryzysu i przepisuję nań jedyne możliwe remedium.

Pragnę zaznaczyć, że wysłałem ten artykuł do Pana jako pierwszego dziennikarza na świecie, bo bardzo cenię Pana i „Przekrój”. Wierzę, że swój artykuł ukaże się na łamach jednego z najbliższych numerów.

Najdroższy Staśku!

Wiem, że wiele nas na pozór dzieli. Ale czy przynależność gatunkowa ma znaczenie, gdy serca ewa biją w jednym rytmie? Kocham Cię, załączam zdjęcie z plaży przed tego czasu schudłam dla Ciebie, ukochany 2,4 kg). Wierzę, że gdy się poznamy, nasza miłość rozkwitnie. Jestem studentką dziennikarstwa. Czy załatwisz mi staż w „Przekroju”?

Ty bolszewicko-pedalska gnido brontozaura, jeszcze cię załatwimy!

Więcej na www.przekroj.pl, Twitterze, FB, G+, w iPodowych i androidowych edycjach „Przekroju”.

Listy ślij tu: redakcja@przekroj.pl

f **t**

W TYM TYGODNIU

NIE PISZEMY O TYM...

...że przybywa przesłanek mówiących o coraz większej grupie generałów obecnych w kokpicie rządowego tupolewa, który rozbił się w lesie smoleńskim.

...że polskie sądy wyrastają na lidera humoru zeszytów szkolnych, skazując panią Dorotę Rabczewską, znaną przez niektórych pod pseudonimem Doda, za jej wypowiedź: „Bardziej wierzę w dinozaury niż w Biblię, bo ciężko wierzyć w coś, co spisał jakiś napruty winem i pałacą jakieś ziola”. Sąd uznał, że piosenkarka wiedziała, co mówi, a jej wypowiedź miała charakter prowokacyjny. Przesunięcie prokuratury wojskowej do cywilnej to za mało. Należy sądy powszechne podporządkować sądom kurialnym.

...że najpiękniejszym zdaniem wypowiedzianym w języku włoskim jest emocjonalna, być może

obraźliwa, wypowiedź dyżurnego z kapitanatu portu w Livorno w Toskanii Georgio De Falco do kapitana tonącego wycieczkowca „Costa Concordia” Francesco Schettino: „Wracaj, chuju, na pokład!”. Każdemu może się zdarzyć, że się zsunie do łodzi ratunkowej na kilka godzin przed zakończeniem akcji ewakuacyjnej.

...że upadła firma Kodak, która przeoczyła nadejście epoki fotografii cyfrowej, chociaż sama skonstruowała pierwszy cyfrowy aparat fotograficzny. Trzeba było czytać Paulo Coelho, to by wiedzieli, że skarb leży pod nosem.

...że Maciej Szajkowski, muzyk z Kapeli ze Wsi Warszawa, nagrodzony paszportem „Polityki” za projekt „Gore” formacji R.U.T.A. (Ruch Utopii, Transcendencji, Anarchii aka Reakcyjna Unia Terrorystyczno-Artystow-

ska) powiedział podczas uroczystej gali do obecnych na sali polityków (Tusk, Komorowski): „Pakiet dla kultury nie istnieje. Połowa Polaków nie czyta. Tylko dwa procent kupuje płyty. Zróbcie coś z tym, bo sami chwycimy za broń”. Co tu dodać...

...że Grzegorz Schetyna (Platforma Obywatelski) ramię w ramię, gardło w gardło z Jackiem Kurskim (PiS) gardłowali za węgierskim premierem Orbanem. Bo wiadomo, ...że z szefem rządu, niezależnie za co odpowiada, trzeba grzecznie, a nie ostro.

...że w Częstochowie otwarto poradnię naprotechnologii w obecności zakonnic, księży i dużej grupy osób starszych, w obecności abp. Stanisława Nowaka. Naprotechnologia, owoc pracy medycyny pastoralnej oraz nienawiści do in vitro, polega na obserwacji słuza z pochwy kobiety.

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

Diabelskie symbole: co mogą oznaczać trzy szóstki? Ceny za litr benzyny, ON i LPG.

PRZED WSZYSTKIM

6 Czy wprowadzanie odpłatności za studia ma sens? Czy warto bronić Karty nauczyciela? Do czego zmierza polskie szkolnictwo a do czego reforma edukacji doprowadziła w Chinach?
Teksty: Bartłomiej Kozek, Piotr Laskowski, Katarzyna Machnik

12 „Chciwość” J.C. Chandora – kłótnia „Przekroju” – czy pazerność doprowadziła do kryzysu?



16 Musimy ucywilizować narkotyki. Trzeba je zacząć traktować jak używkę, a uzależnienie od nich jak chorobę – przekonuje w rozmowie z Mają Ruszpel Agnieszka Sieniawska

18 Naprzód! Felieton Adama Ostolskiego

20 O co chodzi Topie? – pyta Jacek Tomczuk

22 Martwi mnie zgoda na ciągłe obniżanie oczekiwań wobec polityki. Etos, moralny szkielet naszego działywania, dochodzi do głosu w momentach przesilen historycznych. Ważne jest jednak, żeby trwał. Jeśli nie chcemy, żeby społeczeństwo zwyrodniało, musimy bronić wartości w każdej sytuacji – mówi w rozmowie ze Sławomirem Sierakowskim były premier Tadeusz Mazowiecki

26 Arabska wiosna wybuchła rok temu. Ale nie zakończyła się wraz z obaleniem dyktatorów w Tunezji, Egipcie i Libii. Trwa w tych krajach i wszędzie tam, gdzie władze trzymają się swoich stołków: w Syrii, Jemenie, Bahrajnie... i – pisze Przemysław Wielgosz

28 Dekadę temu USA otworzyły więzienie, które jest zaprzeczeniem wszystkich amerykańskich wartości. Kandydat Obama obiecywał je zamknąć. Jako prezydent się rozmyślił. Tekst: Łukasz Wójcik



CYWILIZACJA

32 Jak myślimy? Jak odczuwamy? Co decyduje o naszej tożsamości? Wszystko wskazuje na to, że przełom w badaniach nad ludzkim mózgiem nastąpi w tym roku i pozwoli odpowiedzieć na te wszystkie dręczące nas pytania. Tekst: Olaf Szewczyk

34 Żebyś wiedział, czyli Olaf Szewczyk pyta, czy możemy winić Marka Stevensona, autora książki „Co nas czeka? Krótki przewodnik po przyszłości”, że chce, aby technologia była magią, która zbawi od zła, a jutro stanie się baśnią?

35 Też pytanie!

KULTURA

36 Muzeum Sztuki Nowoczesnej miało powstać w Warszawie do 2012 r., tymczasem budowa jeszcze nie ruszyła. Miał być nowy budynek w centrum miasta, jest dom meblowy Emilia. Joanna Mytkowska, dyrektorka msn, przekonuje Jacka Tomczuka, że to nic nie znaczy, że warto poczekać. Bo epokowe zmiany potrzebują czasu

38 W kryzysie stacje telewizyjne wolą nie ryzykować i stawiają na wypróbowaną rozrywkę. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy będą musiały zmierzyć się z tym, co ludzi naprawdę boli: ze sprawami Kościoła czy rozliczeniem z kapitalizmem – mówi Robert Brutter, scenarzysta „Rancza” i „Ekstradycji”, w rozmowie Jackiem Tomczukiem



RECENZJE

42 Film: Salwa o „Muppetach”

43 Muzyka: Gromnicka o „Afternoon Delights” tria Levity

44 Książki: Bilewicz o „Passie” Passenta i Ordyńskiego oraz Mizuro o „Kocha, lubi, szanuje” Alice Munro

46 Teatr: Wakar o „I będą święta” Rowickiego

ZAWSZE W PRZEKROJU

47 Stopklatka

48–50 Rozmaitości z krzyżówką, Lewomyślnie Kurkiewiczza, Ładnymi rzeczami Salwy

3, 15, 35, 50 Raczkowski

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl **REDAGUJE ZESPÓŁ:** Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Piotr Witek, Weronika Kostyrko, Katarzyna Czarnecka **PRZED WSZYSTKIM:** wydarzenia@przekroj.pl, Łukasz Wójcik, Agnieszka Fiedorowicz, Joanna Woźniczko-Czeczott **CYWILIZACJA OD ŚRODKA:** nauka@przekroj.pl, Olaf Szewczyk; stale współpracuje Paweł Franczak **KONIEC Z KULTURĄ:** kultura@przekroj.pl, Jacek Tomczuk; stale współpracują Jacek Wakar, Marcin Sendek, Karolina Pasternak, Kuba Dąbrowski, Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki, Bartek Winczewski, Jacek Skolimowski, Anna Gromnicka **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stale współpracuje Kaliber 45 **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Wojciech Brde, Andrzej Figatowski, **FOTODYSCJA:** foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Karolina Sekula **KOREKTA:** Ling Brett **PROJEKT GRAFICZNY:** Kasper Skirgajło-Krajewski **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Paweł Wójcik **STRONA INTERNETOWA I IPAD:** Marcin Cichoński, Renata Wróbel



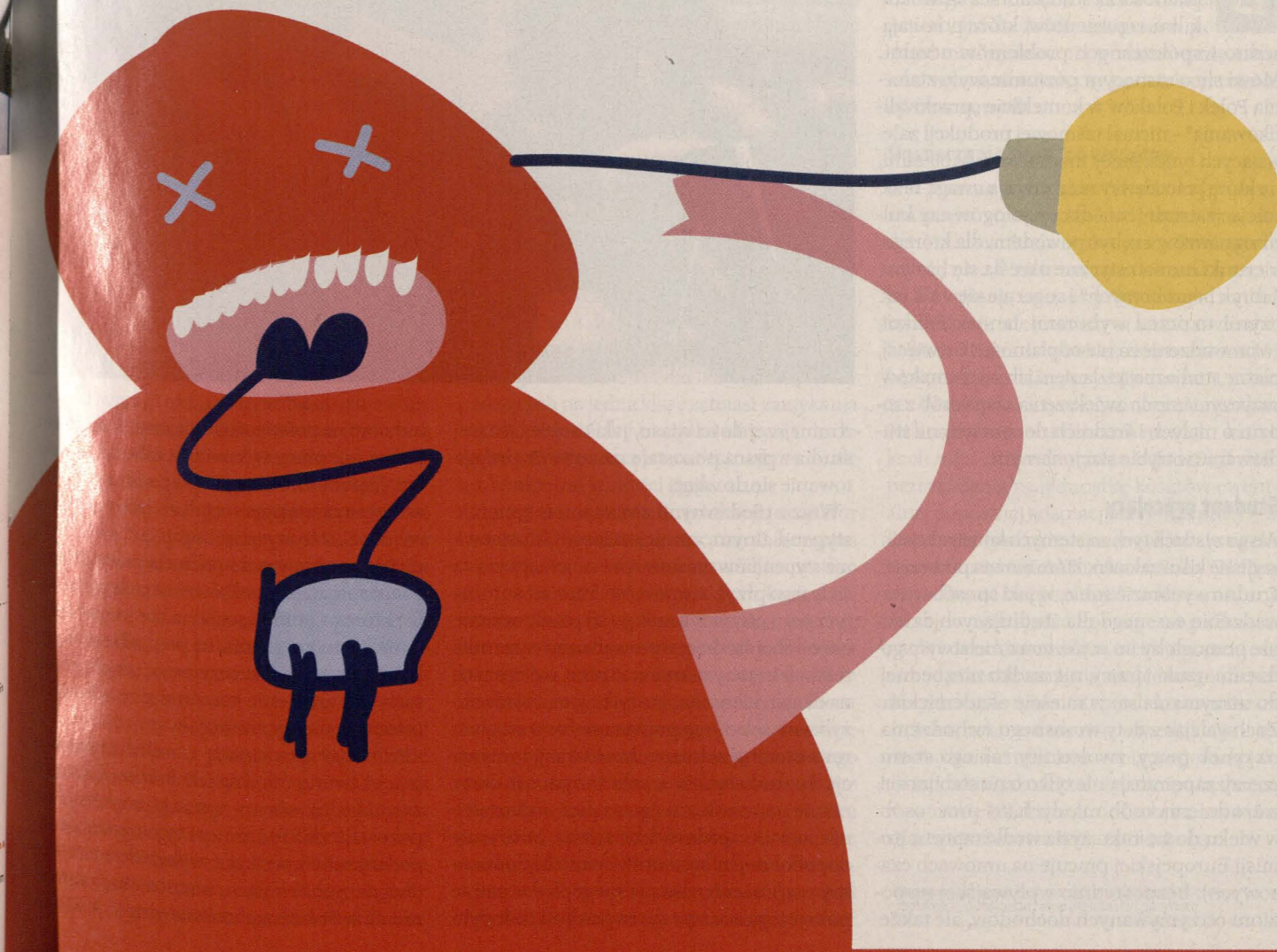
Okładka: Grzegorz Laszuk

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
PRENUMERATA REDAKCYJNA
Cena prenumeraty 2012 r.:
Roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł
Zamówienie na prenumeratę należy składać:
e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faksem: 22 621 22 60
Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195
PRENUMERATA KOLPORTERSKA
oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe
PRENUMERATA E-WYDANIA
www.egazety.pl
PRENUMERATA ZAGRANICZNA
Ruch SA, www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPAD
Cena abonamentu na iPada i w Internecie:
tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatami 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl

Nowa, lepszą Polską, powszechny dostęp do informacji.

Każdy ma prawo wiedzieć więcej!



A to bzdura: płatne studia

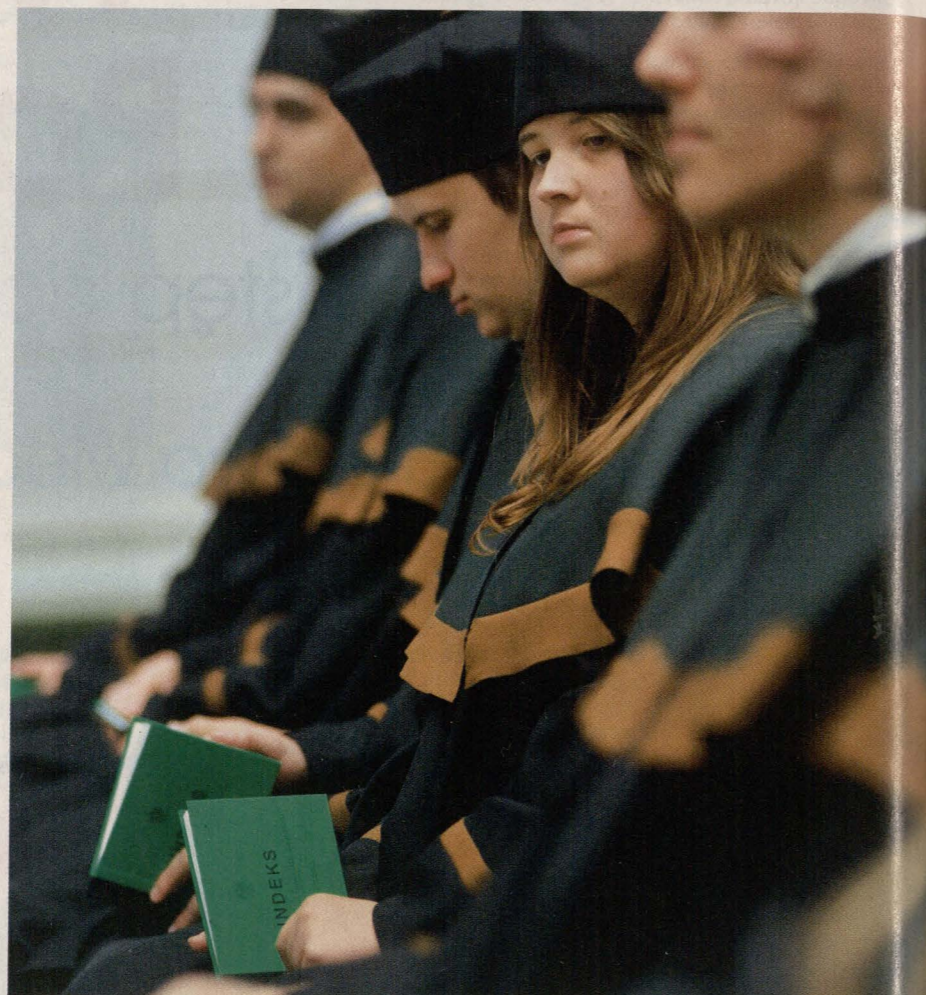
Nie ma sensu wprowadzać odpłatności za studia. Co więcej, ograniczanie możliwości bezpłatnego studiowania na dwóch i więcej kierunkach mija się z celem. Dlaczego? Spójrzcie na rynek pracy

BARTŁOMIEJ KOZEK

Dyskusja na temat wprowadzenia odpłatności za studia obraca się wokół kilku argumentów, które pomijają sedno współczesnych problemów uczelni. Mówi się o rosnącym poziomie wykształcenia Polek i Polaków w kontekście „przekwalifikowania” – niemal taśmowej produkcji zalewających rynek pracy magistrów z papierami, na które pracodawcy nie zwracają uwagi. Brak miejsc zatrudnienia dla socjologów czy kulturoznawców ma być powodem, dla którego kierunki humanistyczne określa się hasłem „fabryk bezrobotnych” i sugeruje się – tak jak czynił to przed wyborami Janusz Palikot – wprowadzenie za nie odpłatności. Co więcej, płatne studia mają zdaniem ich zwolenników przyczynić się do zwiększenia szans osób z rodzin o małych i średnich dochodach na studiowanie w trybie stacjonarnym.

Student pracujący

We wszystkich tych misternych konstrukcjach kryje się kilka założeń, które można podważyć. Trudno wyobrazić sobie, w jaki sposób wprowadzenie czesnego dla studiujących dziennie pomogłoby im w już teraz niełatwym godzeniu nauki i pracy, nierzadko niezbędnej do utrzymania się w mieście akademickim. Zachwalając zalety wczesnego wchodzenia na rynek pracy, zwolennicy takiego stanu rzeczy zapominają nie tylko o niestabilności zatrudnienia osób młodych (85 proc. osób w wieku do 24. roku życia wedle raportu Komisji Europejskiej pracuje na umowach czasowych), bezpośrednio wpływającej na poziom otrzymywanych dochodów, ale także



o mniejszej ilości czasu, jaki osobie łączącej studia z pracą pozostaje na rzetelne przygotowanie się do zajęć.

Wraz z niedawnymi zmianami w systemie stypendialnym, zmniejszającym finansowanie stypendiów naukowych i zmieniającym zasady jego przyznawania (np. zamiast automatycznego otrzymywania go za przekroczenie określonej średniej wprowadzono stypendia rektorskie, przyznawane 10 proc. najlepszym na danym kierunku, i to tylko tym, którzy złożyli wnioski o jego przyznanie) oraz ciągłym rozrostem uczelnianej biurokracji motywacja do studiowania w celu innym niż otrzymanie potwierdzającego stopień wykształcenia papierka spada na łeb na szyję. Mało prawdopodobne, by system stypendialny, powstały po wprowadzeniu czesnego, był w stanie pokryć jego koszty czy też pozwolić młodym

ludziom na poświęcanie większej ilości czasu nauce niż pracy w kawiarni albo w call center. Zapomina się też, że stypendium naukowe często zastępuje socjalne – łatwo bowiem wyjść na „statystycznie bogatego”, kiedy brak pieniędzy zmusza do podjęcia pracy. Najczęściej oznacza to przekroczenie pułapu, powyżej którego pomoc socjalna nie przysługuje – i nie ma tu znaczenia, że pieniądze te mogłyby wystarczyć na czynsz, o takich „frykach” jak zrobienie kserówek czy opłacenie Internetu nie wspominając.

Promując „związanie uczelni z rynkiem pracy”, twórcy reformy szkolnictwa wyższego zapomnieli o jednym – sytuacja na rynku pracy pozostaje zła i nie zmieni tego ograniczenie podaży osób z wyższym wykształceniem. Według danych Eurostatu w 2010 r. stopa zatrudnienia w Polsce wynosiła w grupie w wieku

produkcyjnym 59,3 proc. Unijna średnia w tym samym czasie wyniosła 64,1 proc., podczas gdy w krajach takich jak Niemcy, Austria, Holandia, Szwecja czy Dania wskaźnik ten przekroczył poziom 70 proc. Wedle przytoczonych niedawno przez „Dziennik Gazetę Prawną” szacunków bez pracy jest dziś 2,8 mln dorosłych Polek i Polaków, a do 2015 r. na rynku pracy pojawi się dodatkowo do 3,5 mln osób kończących uczelnie wyższe. W takich warunkach nawet postawienie na zawody, w których brakuje dziś rąk do pracy, jak np. hydraulików czy budowlanców, po kilku latach skończyłoby się ich nadwyżką w stosunku do potrzeb.

Nie oznacza to, że mamy zbyt wiele osób wykształconych, ale że brak dla nich zajęcia. Instytucje publiczne skapitulowały, jeśli o aktywną politykę rynku pracy chodzi, a jedynymi pomysłami rządu PO – PSL na poprawę sytuacji są deregulacja oraz uelastycznianie Kodeksu pracy. Oznaczać to prawdopodobnie będzie zwiększenie liczby osób pracujących na pozakodeksowych umowach o pracę, mających ograniczony lub zerowy dostęp do świadczeń społecznych, a do tego z ograniczoną dostępnością do likwidowanych własnie sądów pracy i marną szansą na to, że pozostawiana finansowania Państwowa Inspekcja Pracy zdoła wykryć jakiegokolwiek nieprawidłowości, jak chociażby fałszowanie ewidencji czasu pracy czy obniżenie poziomu bezpieczeństwa w miejscu pracy.

Państwo – bierne, mierne i niewierne

Narzekanie na „przekwalifikowanie” Polek i Polaków pojawiłoby się zapewne wcześniej, gdyby nie wejście Polski do UE. Niedawne oszczędzanie – dzięki spisowi powszechnemu – stała emigracji na 1,1 mln osób pokazuje wagę problemu. Spora część opuszczających kraj starowali ludzie dobrze wykształceni – od kończących studia, po pielęgniarki. Zamiast „przekwalifikowaniem” powinniśmy martwić się drenażem mózgow, będącym skutkiem bierności państwa w sektorze zatrudnienia (symbolem jest obcięcie o kilkadziesiąt procent nakładów na Fundusz Pracy w 2011 r., co zmniejszyło środki na szkolenia i przekwalifikowania) oraz grożącym nam w jeszcze większym niż do tej pory stopniu.

Nie czarujemy się też, że sytuację poprawi postawienie przez państwo na kształcenie w przedmiotach ścisłych. Po pierwsze – jak wskazuje przygotowany przez ekipę Michała Boniego rządowy raport „Młodzi 2011” – bezrobocie wśród kończących studia ściśle wynosi dziś około 20 proc., a więc znacznie powyżej średniego poziomu bezrobocia w Polsce.

Po drugie – co z kolei zostało zauważone w pierwszej edycji strategii „Polska 2030” – wydatki na badania i rozwój w Polsce są zatrważająco niskie w skali Europy – 0,56 proc. PKB (wedle najnowszych danych miały one wzrosnąć do 0,8 proc.) w porównaniu do np. 1 proc. Węgier, 1,54 proc. Czech, 1,76 proc. Wielkiej Brytanii, 2,12 proc. Francji, 2,51 proc. Niemiec czy 3,73 proc. Szwecji. Sam raport sugerował jednocześnie, że obecny system funkcjonowania polskiej nauki jest anachroniczny i zwiększanie jego finansowania miałyby się z celem. Co ciekawe, jego nowe wydanie – „Trzecia fala nowoczesności” – posługuje się już innym językiem, postulującym wzrost wydatków na B+R do 3 proc. PKB do 2030 r. Na razie tkwimy w rzeczywistości niedofinansowanych badań i słabej innowacyjności gospodarki, którą rekompensujemy niższymi niż na zachodzie Europy płacami i kosztami pracy.

Co państwo mogłoby zrobić, by wyrwać się z tego zakłętą kręgu? Mogłoby dla przykładu – zamiast walczyć z wiatrakami – wycisnąć jak najwięcej z konieczności wdrożenia unijnego pakietu energetyczno-klimatycznego. Nowe miejsca pracy w energetyce odnawialnej, lepiej dofinansowanym transporcie zbiorowym czy energooszczędnym budownictwie to jeden z kierunków rozwoju. Zielony Nowy Ład wymusiłby innowacyjność w wynajdywaniu sposobów na poprawę efektywności energetycznej, co dałoby pole do zagospodarowania młodej kadry naukowo-technicznej. Wzrost nakładów na usługi publiczne, takie jak edukacja czy ochrona zdrowia (a więc nieociąganie się, z włączeniem przedszkoli, w obręb subwencji oświatowej i wykorzystanie niżu demograficznego do zmniejszenia liczby dzieci przypadających na jedną klasę zamiast zamykania szkół), przyniosłoby nie tylko utrzymanie dotychczasowego oraz wzrost zatrudnienia, ale też konkretne korzyści społeczne.

Ograniczanie prawa do edukacji jest niefortunnym rozwiązaniem „końca rury”, leczącym drenaż mózgow za pomocą zmniejszania jego zdolności intelektualnych. Jeśli brak nam pracowników fizycznych, rozwiązaniem nie jest zamykanie bram uczelni, ale odbudowa kształcenia technicznego na niższych szczeblach edukacji. Jeśli sądzimy, że jakiś kierunek wart jest szczególnej promocji, poeksperymentujmy z finansowymi zachętami do jego studiowania w rodzaju praktykowanych już kierunków zamawianych. Możemy również poważniej potraktować doradztwo personalne w szkołach – oczekiwanie od ledwo wchodzącej w dorosłość osoby, nadal pozostającej pod wpływem rodziców i ich wyobrażeń o świecie,

samodzielnego podjęcia w pełni świadomej decyzji, która może zaważyć na całym jej życiu, wydaje się nadmiernie optymistyczne.

Pamiętajmy, że w ciągu ostatnich lat byliśmy świadkami obniżek podatków, w szczególności dla osób najzamożniejszych. Najwyższa stawka podatku PIT została obniżona z 40 do 32 proc., a dla większości z nas obniżka opodatkowania z 19 do 18 proc. pozostała niemal niezauważona. Ścięto składkę rentową, co przyczyniło się do zwiększenia deficytu w Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Zlikwidowano także opodatkowanie spadków dla najbliższej rodziny. Wszystkie te działania przyczyniły się do zmniejszenia funduszy budżetowych, pozostających w dyspozycji państwa, co utrudniło wzrost nakładów na usługi publiczne, takie jak zdrowie i edukacja. Zmusiły również rząd Donalda Tuska do podwyżki podatku VAT, która najbardziej uderza w osoby mało i średnio zarabiające. Pieniądzy na utrzymanie bezpłatnych studiów i na poprawę jakości systemu stypendialnego nie brakuje – poza wymienionymi przed chwilą źródłami można podpowiedzieć między innymi opodatkowanie związków wyznaniowych czy podatek od transakcji finansowych.

Poszerzanie tego, co wspólne

Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie ma sensu wprowadzać odpłatności za studia – to... ewolucja rynku pracy. Jeśli zgodzimy się z tezą, że idzie on w kierunku częstego zmieniania miejsca pracy i ciągłej zmiany kwalifikacji, nie jesteśmy w stanie stwierdzić, które umiejętności z którego kierunku studiów będą nam bardziej przydatne za lat 5, 10 czy 20. W związku z tym ograniczanie możliwości bezpłatnego studiowania na wielu kierunkach mija się z celem oraz świadczy o chęci przetrwania na jednostkę kosztów ewentualnej ponownej adaptacji na rynku pracy – widocznej gołym okiem na przykładzie ograniczenia finansowania Funduszu Pracy. Walcząc o możliwość bezpłatnego studiowania, organizacje w rodzaju Demokratycznego Zrzeszenia Studenckiego walczą o coś jeszcze – o istnienie przestrzeni życia społecznego niepodległych logice rynku. Reprodukacja społeczna – opieka, ochrona zdrowia czy edukacja – jest niezbędna do funkcjonowania gospodarki jako takiej i od jej jakości zależy, czy żyć będziemy w państwie względnego dobrobytu, czy też rosnącego rozwarstwienia społecznego.

Bartłomiej Kozek jest członkiem Zarządu Krajowego Zielonych, publicystą, alterglobalistą, pacyfistą

Bój o Kartę nauczyciela

Szkoła, jak każda inna społeczna przestrzeń, jak każde miejsce pracy, potrzebuje demokracji i autonomii, a nie tylko sprawnego zarządzania

PIOTR LASKOWSKI

Pomyślmy o czasie – o czasie pracy. Choć punktem wyjścia będą szkoła i obecna polityka oświatowa, to w istocie chodzi o rzecz najistotniejszą – o naszą zdolność społecznego istnienia

Informacje o postępującym dziarsko procesie likwidacji nieopłacalnych szkół – w tym roku ma ich zniknąć kilkaset – od kilkunastu dni przeblaskują w mediach. W wielu miejscach ludzie organizują się, by ów proces powstrzymać. Daje się zauważyć, że ten ruch oddolnego oporu próbują przesterować i zagospodarować życzliwie zatroskani publicyści neoliberalnej prawicy, którzy ze zrozumieniem odnoszą się do protestów i ponaglają rząd, by zabrał się do reformowania na potęgę, do reorganizacji całościowej, zamiast na samorządy spychać drobne zadania korekcyjne.

Celem ataku jest Karta nauczyciela, ustawa określająca warunki pracy w szkołach. Cel to wygodny, bo Karta i pochodzenie historyczne ma nieprawe, i uelastycznienie edukacyjnego rynku pracy blokuje, i przywileje nieuzasadnione daje. Przez Kartę wszystko jest w tej edukacji kosztowne i nieopłacalne.

Temat Karty wrzucany jest nie po raz pierwszy. Tym razem szczególnie nieciekawie, bo chodzi o zasugerowanie, że likwidacja szkół jest wynikiem egoizmu kasty nauczycieli, którzy nie chcąc wyrzec się nieuzasadnionych przywilejów, nadwyrężają finansowo system edukacji. Tym ruchem, pozornie sprzyjającym sprawie protestów, rozegrać można najpotężniejszą emocję, przez którą w Polsce tak trudno o społeczny opór – frustrację poszukującą raczej pomsty na tych, którzy mają lepiej, niż realnej społecznej zmiany. Owo „lepiej” istnieje zresztą często jedynie w sferze wyobrażeń produkowanych pracowicie na potrzeby pracwicowego pseudoegalitaryzmu, utrzymującego nas w posłuchu.

Pisząc o projektach likwidacji szkół dodajmy wszakże, iż celnie spostrzegli, że choć odium spada na samorządy, to w istocie system edukacji jest finansowany centralnie, a zatem do rząd powinien zapewnić środki na utrzymanie placówek oświatowych. Dodajmy jednak szybko, że niezrozumiała jest ta pokora samorządowców, którzy zamiast bronić swoich szkół, zamiast razem wystąpić przeciwko polityce rządowej, tak chwacko je likwidują,



Tomasz Jodłowski

kiedy tylko zakomunikowano im, że pieniędzy nie ma. Być może więc trzeba pomyśleć o zupełnie nowym systemie powoływania samorządów – tak by stały się naprawdę samorządami, a nie lokalnymi ekspozyturami partii politycznych.

Wobec tego wszakże, że sprawa finansowania oświaty jest sprawą władz centralnych, z atakiem na Kartę nauczyciela można by się rozprawić krótko i stwierdzić, że zanim nie zakończymy wydawania setek milionów złotych na wojnę w Afganistanie, zanim rządy europejskie, a wśród nich polski, nie opodatkują transakcji kapitałowych, nie ma najmniejszego powodu, aby rozważać płacenie za kryzysy dobrami społecznymi, wśród nich – edukacją. Ale są poważne powody, by na takiej odmowie nie poprzestać i podjąć poważną walkę – nie tylko o Kartę nauczyciela, lecz także o warunki pracy w naszym społeczeństwie. Karta,

a zwłaszcza ten jej zapis, który jest najczęściej przywoływany w mediach jako emblemat niesprawiedliwego uprzywilejowania nauczycieli, będzie tu dobrym punktem wyjścia.

Mowa o słynnym 18-godzinny tygodniu pracy. Dla każdego, kto widział kiedyś dobrą szkołę, jest jasne, że nauczycielski czas pracy nie ogranicza się do 18 godzin prowadzenia lekcji. I nie chodzi tu tylko o tak często wymieniane, a istotne, przygotowywanie zajęć czy sprawdzanie prac. Chodzi także, a może przede wszystkim, o to, co czyni szkołę społecznym – o rozmowy, o pomoc, którą nauczyciel(ka) służy swoim uczniom i uczennicom nie tylko w godzinach pracy szkoły, o spotkania, douczki, wspólne pozalekcyjne przedsięwzięcia, o opiekę i troskę, o to, co – jak dobrze wiedzą ci, którzy spotkali dobrego nauczyciela – wypełnia nauczycielskie życie. Kluczowe jest przy tym uświadomienie sobie, że żadna dobra nauczycielka nie nazwie tego pracą w tym sensie, w jakim każdy system wyzysku pracą definiuje – nie robi tego

bowiem dla pieniędzy, pod przymusem, lecz z potrzeb całkowicie odmiennej natury. Dla tego tej pracy, pracy tak rozumianej, nie da się przeliczyć na godziny, wykazać w zestawieniu rozliczyć. Czas tak rozumianej pracy jest czasem zupełnie innym, niepodzielnym na godzinowe odcinki, akumulowane i doskonale równoważne sobie nawzajem, wymieralne na wyznaczoną sumę złotych. Ten czas jest „przestrzenią ludzkiego rozwoju”.

Zapis Karty nauczyciela stanowi słabą, i nie doskonałą, ale jedyną, jaką mamy, zapórę broniącą czasu prawdziwej pracy przed pokawaniem kowanym czasem pracy wyobcowanej i wręgiej nam, pracy męki, w której marzymy jedynie o tym, by od niej uciec.

Tu pojawiają się dwie możliwe obiekcje – pierwsza polegałaby na zauważeniu, że Karta nauczyciela jest korporacyjnym przywilejem, broniącym nie tylko nauczycieli dobrych, lecz

także pracujących źle, odbębniających jedynie swoje lekcje. Tu wszakże po chwili namysłu staje się jasne, że zwiększenie obciążeń lekcyjnych lub – jak chcą niektórzy – wyznaczenie obowiązkowych godzin zajęć dodatkowych czy przetrzymywanie nauczycieli w budynku szkolnym nie przybliży nas do szkoły, jakiej chcemy. Człowiek, któremu jego praca jest już całkowicie obca i wroga, będzie pracować równie źle przez dodatkowe godziny. Nauczyciel źły, to znaczy sfrustrowany, zniechęcony, rozgoryczony, może stać się lepszy tylko wtedy, gdy odkryje na nowo sens swojej działalności. Przymus, nakaz, kontrola nie służą pracy – na odwrót praca poddańcza, degeneruje się w mechaniczne, jak najmniej obciążające wykonywanie jedynie niezbędnych czynności. Dla szkoły rozumianej jako społeczność, jako środowisko wychowawcze, a nie tylko miejsce koszarowania i transmisji encyklopedycznych wiadomości praca poddana takiej presji musi być niszcząca. Wie to zresztą nawet współczesny kapitalizm.

Tu dochodzimy do obiekcji drugiej. Wiemy, że język nazywający pracę wspólnym przedsięwzięciem, sprawą całego zespołu nazbyt często bywa wykorzystywany jako narzędzie

subtelnej dyscyplinowania, wyciskania ostatnich sił, które w archaicznym reżimie dyscypliny człowiek umie zachować dla siebie. Jakże często trzeba zostać dłużej, zrobić więcej – nie pod przymusem, lecz dla dobra naszej firmy, naszego projektu. Ów język, obecny paradoksalnie zarówno w korporacjach, jak i w wielu organizacjach pozarządowych, niszczy etos pracy o tyle, o ile służy zarządzaniu produktywnością. Tu ujawnia się najważniejsze zadanie lewicy, jeśli nie chce ona jedynie walczyć o resztki dawnych uprawnień upadające pod naporem wszytkożernej ekonomii, lecz stworzyć realną alternatywę – konieczne jest wyzwolenie pracy poprzez prawdziwą demokrację, to znaczy wspólną zdolność decydowania o pracy, o jej miejscu, warunkach, celach. Praca musi stać się prawdziwie naszą własną. I musi odzyskać wartość społeczną, bo dziś ma tylko wartość wymienną.

Ośrodek Rozwoju Edukacji, podlegający Ministerstwu Edukacji, ogłosił właśnie swe zalecenia dotyczące powoływania dyrektorów szkół. Mieliby to być ludzie, którzy obowiązkowo ukończyli studia menedżerskie i nie pracowali wcześniej w szkole, którą mają prowadzić. W tym nieszczęsnym pomysłu ujawnia

się idiotyzm naszego świata – tym bardziej, im jaśniej widzimy, że eksperci ośrodka starali się rozwiązać realne problemy. Potrzebujemy dziś wyjścia z klinczu międzyfeudalnymi w istocie relacjami, w których znaczenie ma przede wszystkim, kto czym jest człowiekiem (i które, o ironio, bronią resztek autonomii społeczności takich jak szkoły, wraz ze wszystkimi okropnościami, które tam trwają), a wiarą w zobiektywizowany system ekonomicznych zasad, które w miejsce osobistych relacji hierarchicznych wprowadzą wyspecjalizowane zarządzanie zasobami ludzkimi. Dyrektor szkoły nie może być menedżerem – musi być bowiem osobą, która będzie w stanie współtworzyć naukową i wychowawczą wspólnotę. Musi znać swoją szkołę i lubić ją, być częścią nauczycielsko-uczniowskiego zespołu. W szkole nauczyciele i nauczycielki, uczniowie i uczennice powinni być u siebie. Dlatego szkoła, jak każda inna społeczna przestrzeń, jak każde miejsce pracy, potrzebuje demokracji i autonomii, a nie sprawnego zarządzania.

Piotr Laskowski jest historykiem i filozofem. Pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim

REKLAMA

kibicujemy wszystkim podczas noworocznej wyprzedaży

Kup jeden z produktów w noworocznej wyprzedaży w Orange, a będziesz miał szansę wygrać bilety na UEFA EURO 2012™. Wystarczy, że wyślesz bezpłatnego SMS-a o treści EURO pod numer 2012.

Kibicowanie zmienia się z Orange.

dzisiaj zmienia się z orange™

www.2012.orange.pl

Mrówki po studiach

Są młodzi, wykształceni, nie mają pracy. I są ich miliony. Bezrobocie wśród absolwentów szkół wyższych staje się jednym z głównych problemów Chin

KATARZYNA MACHNIK

Jest rok 1977, Deng Xiaoping wraca na stanowisko wiceprzewodniczącego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin oraz wicepremiera, wkrótce staje się faktycznym przywódcą kraju. Rozpoczyna szerokie reformy, także w edukacji. Ma ona być jedną z podstaw rozwoju Chin, pręźnie rozwijająca się gospodarka potrzebuje wykwalifikowanej kadry. Pierwszy krok to przywrócenie egzaminów wstępnych na studia. To ich wynik ma decydować o przyjęciu na uczelnię. W 1978 r. do egzaminów przystępuje 5,7 mln kandydatów, z czego tylko 270 tys. zostaje studentami, to zaledwie 0,03 proc. ówczesnej populacji (962,5 mln osób). To się jednak zmienia. Także dlatego, że nauka jest bezpłatna. Edukacyjny boom następuje w 1999 r., gdy władze zwiększają nabór.

Ta decyzja była odpowiedzią na rosnącą presję społeczną: coraz większa liczba absolwentów szkół średnich nie miała szans dostać się na uczelnie nie z powodu słabo zdanych egzaminów, ale ograniczonej liczby osób przyjmowanych na studia. I tak, jeszcze w 1990 r., studiowało mniej niż 4 proc. osób w wieku 18–22 lata. W 2005 r. ten odsetek wyniósł już 22 proc., a ogólna liczba studentów przekroczyła 23 mln osób. Jednocześnie wzrastało też czesne za studia. Początkowo, wraz z proklamowaniem ChRL, były one bezpłatne. Jednak od 1985 r. zaczęto stopniowo wprowadzać opłaty. W uzasadnieniu decyzji władze wskazały, że „Zarys chińskiej reformy i rozwoju edukacji” wydany w 1993 r. Wskazano w nim, że „wyższe wykształcenie nie jest obowiązkowe, dlatego też studenci zobowiązani są płacić czesne”. Obowiązkowe opłaty wprowadzono w 1997 r. Teraz wahają się one od 10 tys. do 25 tys. juanów (5 tys.–12,5 tys. zł). Dla większości studentów jest to olbrzymi wydatek, stanowi on średnio około 60 proc. rocznego dochodu całej rodziny.

Mimo wprowadzenia czesnego reforma szkolnictwa przyczyniła się do „umasowienia” wyższego wykształcenia. Co roku mury uniwersytetów opuszcza ponad 6 mln absolwentów. Co trzeci nie może znaleźć

pracy. Dziennik „China Daily” wskazuje za Ministerstwem Edukacji, że zatrudnienie absolwentów w 2010 r. wzrosło o 4,2 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Pracę znalazło 72,2 proc., czyli 4,56 mln osób. To oznacza, że około 30 proc. (1,76 mln) nowych absolwentów pozostaje bez pracy, a wskaźnik bezrobocia w tej grupie wynosi około 10 proc., podczas gdy średnia w Chinach to około 4 proc. Mimo zawrotnego tempa rozwoju gospodarczego są nadal krajem rozwijającym się, większa część PKB tworzona jest przez takie sektory gospodarki jak produkcja, przemysł i eksport, gdzie zatrudnienie znajdują w większości robotnicy i rzemieślnicy a nie absolwenci uniwersytetów.

Plemię mrówek

Młodzi bezrobotni czują się oszukani.

Wpajano im, że wykształcenie jest przepustką do dostatniego życia, że dyplom wyższej uczelni otwiera drzwi do największych firm i najlepszych ofert pracy. W rzeczywistości nikt na nich nie czeka. W 2009 r. Lian Si, młody badacz z Uniwersytetu Pekinńskiego, opublikował książkę „Plemię mrówek. Raport z osady absolwentów”. To zbiór wywiadów z absolwentami w wieku od 22 do 29 lat, którzy mieszkają na obrzeżach

wielkich miast, dzieląc wynajmowany pokój (często bez toalety, ale obowiązkowo z dostępem do Internetu) z kilkoma osobami. W większości są to ludzie pochodzący z rozwijających się regionów Chin, którzy po studiach wyruszają do bogatych miast w poszukiwaniu pracy. Wynik rozmów Lian Si wynika, że większość „mrówek” to osoby pochodzące z niższej klasy średniej, wywodzące się z rodzin, w których są pierwszym pokoleniem inteligentów. Ich rodzice to najczęściej emerytowani robotnicy. Dużo rzadziej wśród bezrobotnych absolwentów można spotkać osoby z rodzin o wyższym statusie społecznym – dzieci inżynierów, urzędników itd. Ponadto, jak wykazały ankiety, ponad 90 proc. z nich jest absolwentami drugorzędnych uniwersytetów zlokalizowanych w mniejszych miastach poszczególnych prowincji, poza głównymi ośrodkami akademickimi takimi jak Pekin, Wuhan czy Szanghaj.

Lepsze łóżko w Pekinie

Jest wiele powodów, dla których młodzi ludzie po studiach przyjeżdżają do wielkich miast w poszukiwaniu pracy. W Chinach mówi się, że „lepsze łóżko w Pekinie niż dom na prowincji”. Miasta kuszą młodych szansą na karierę i awans społeczny – różnica w zarobkach między bogatym wybrzeżem a zachodnimi i centralnymi prowincjami wynosi aż 40 proc. Jednocześnie coraz bardziej niewydolny rynek nie jest w stanie stworzyć miejsc pracy absolwentom lokalnych uczelni. W efekcie przenoszą się oni masowo do metropolii i zaczynają szukać jakiegokolwiek zatrudnienia. W Pekinie czy Szanghaju mogą liczyć najwyżej na niepewną, nisko płatną posadę ekspedienta w sklepie, kelnerki lub konsultanta call center, często na czarno. Zarabiają od 1000 do 2500 juanów (500–1400 zł), z czego większość wydają na czynsz, jedzenie i transport do miejsca pracy. Lian Si określa ich mianem „czwartej poszkodowanej grupy”, zaraz po chłopach, robotnikach i ludziach zwolnionych z pracy z powodu cięć. Szacuje, że tylko w Pekinie pracuje lub pracy szuka ponad 100 tys. absolwentów. W innych miastach, takich jak Wuhan czy Kanton, jest podobnie. Tak jak „mrówki” są inteligentni, liczni i mieszkają w dużych grupach – głównie w tanich mieszkaniach na przedmieściach. Mówi się o nich często, że przyjechali „ze wsi do wsi” – tak naprawdę nie są pekińczykami czy mieszkańcami Szanghaju, jeżdżą tam jedynie każdego dnia do pracy lub w jej poszukiwaniu.

Jak wskazuje Lian Si, bezrobotni absolwenci to ludzie dobrze zaznajomieni z Internetem. Swobodnie wypowiadają się na temat swojej sytuacji materialnej czy bieżących problemów w Chinach. Nie są więc bierną, milczącą masą. Jednocześnie nie tworzą żadnego ruchu, nie skupiają się (nawet wirtualnie). Cechuje ich niechęć do buntów czy otwartych demonstracji. Na pytanie o oczekiwania wobec rządu około 30 proc. badanych odpowiedziało, że są to stabilność i godne warunki zatrudnienia, uczciwie prowadzona rekrutacja, uregulowanie kwestii najmu, zameldowania oraz opieki zdrowotnej.

Wydawać by się mogło, że przy populacji rządu 1 mld 330 mln osób niecałe 7 mln ludzi z wyższym wykształceniem rocznie to niewielki problem w skali kraju. Rzeczywiście, aż do momentu ukazania się książki „Plemię mrówek...” nikt w Chinach nie zajmował się wykluczonymi z rynku pracy absolwentami uniwersytetów. Wcześniej bezrobocie wśród nich było traktowane jako problem marginalny. Dopiero szerszy

opis zjawiska i pojawienie się w mediach nośnego określenia „mrówek” sprawiły, że społeczeństwo i władze przyjrzały się problemowi bezrobotnych lub słabo opłacanych młodych ludzi: zbyt dumnych, by powrócić w rodzinne strony, ale i na tyle pokornych, by w wielkich metropoliach na wschodzie kraju pracować na niepewnych posadach, daleko poniżej umiejętności poświadczonych dyplomem uniwersyteckim.

Friedrich von Hayek pisał o „wykształconym proletariacie”: masach ludzi, którym państwo nie jest w stanie zapewnić pracy stosownej do kwalifikacji. Niepewność zatrudnienia oraz często brak zabezpieczenia społecznego sprawiają, że stojąca teoretycznie wysoko w hierarchii społecznej młodzież akademicka jest jednym z przedstawicieli współczesnego prekariatu: ludzi pozbawionych stałego dochodu, stałego miejsca zamieszkania i pewności jutra. Do tej grupy nie należą już tylko robotnicy tymczasowi czy bezrobotni, ale rzesze ludzi z wyższym wykształceniem, przedstawiciele wolnych zawodów, którzy w dużej części nie mają wyboru: chcąc pracować, muszą godzić się na umowy tymczasowe i inne elastyczne formy zatrudnienia.

Przykład Chin ilustruje zjawisko obserwowane także w innych krajach, również w Polsce. Liczba osób z wyższym wykształceniem nie zawsze wpływa na rozwój ekonomiczny i społeczny kraju. Umasowienie edukacji wyższej, przy jej skomercjalizowaniu, prowadzi często do znacznego obniżenia jakości kształcenia. Dyplom uczelni nie wskazuje już na poziom wiedzy i kompetencji: jest jedynie, w przekonanym milionów studentów, biletem do wygodniejszego i bardziej dostatniego życia. Jak widać, czasem może to być swoisty wilczy bilet. ●

Katarzyna Machnik jest sinologiem, tłumaczem z języka chińskiego

REKLAMA

T-Mobile na kartę

Nagrody same się trafiają!

Każde doładowanie wygrywa.



Chwile, które łączą.



Szczegóły na www.t-mobile.pl/nagrody

Niewidzialna chciwość rynku

Kto odpowiada za dzisiejszy kryzys gospodarczy? Pazerna natura człowieka? System kapitalistyczny? Rządy? Zastanawiamy się nad tym po obejrzeniu filmu „Chciwość”

Tomasz Piątek: Czy początek światowego kryzysu wyglądał tak jak w filmie „Chciwość” J.C. Chandora?

Roman Rewald: Tak mógł się zacząć kryzys jednej firmy, która odkryła, że ma problemy...

Gwiazdowski: Ale co odkryła? Że jeden z jej pracowników popełnił błąd rachunkowy. Tymczasem kryzys zaczął się od tego, że przyjęliśmy niewłaściwą filozofię działania. Bo ekonomia to filozofia i psychologia.

Roman Kurkiewicz: Nie my przyjęliśmy, ale instytucje finansowe przyjęły.

Gwiazdowski: Ludzkość przyjęła.

Piątek: To tak jak z tym koniakiem, który pije klasa robotnicza ustami swoich najlepszych przedstawicieli. Tutaj też ludzkość jest reprezentowana przez...

Gwiazdowski: ...no, prze polityków, makroekonomistów i sektor finansowy.

Kurkiewicz: W tym filmie najbardziej kompetentnego człowieka z dołu firmowej drabiny: mów do mnie jak do labradora.

Anna Czerwińska: Ciągłe słyszymy, jak dużo musimy wiedzieć, żeby się wspiąć po drabinie społecznej. A prezes już nic nie musi wiedzieć. I to jest jedno z tych wielkich oszustw.

Rewald: Prezes mówi wszystkim, co mają zrobić. Jego decyzja, jego odpowiedzialność.

Kurkiewicz: Powiedział pan, że źródłem kryzysu nie był przypadkowy błąd, tylko wybór złej filozofii funkcjonowania instytucji.

Gwiazdowski: Nie instytucji. Całej gospodarki.

Czerwińska: Kapitalizmu.

Gwiazdowski: Nie kapitalizmu. To, co dzisiaj mamy, nie jest kapitalizmem.

Kurkiewicz: Ale dojdziemy kiedyś do prawdziwego kapitalizmu, prawda?

Gwiazdowski: Już tam byliśmy. Kapitalizm to były trzy rzeczy: prywatna własność, wolność decyzji i odpowiedzialność za jej skutki.

Piątek: Czy można mówić o prywatnej własności, kiedy rządzą anonimowi akcjonariusze, którymi manipulują anonimowi analitycy?

Gwiazdowski: Problem polega na tym, że nie rządzą akcjonariusze. Rządzi zarząd spółki.

Rewald: A zarząd zwykle dba o to, by spółka miała dużo kosztów. Bo zarząd jest wynagradzany za wydatki, zyski idą do kogoś innego.

Piątek: W waszych opowieściach kapitalizm jest nieefektywny jak sowiecki komunizm.

Gwiazdowski: Bo odeszliśmy daleko od klasycznego kapitalizmu - tego, który pokazywał Adam Smith jako antidotum na feudalizm. Kapitalizm to ucieczka od feudalizmu pod hasłem wolności. Ale wolność była połączona z odpowiedzialnością. Smith nie był ekonomistą. Prowadził Katedrę Filozofii Moralnej na Uniwersytecie w Edynburgu. Jego pierwsza książka to była „Teoria uczuć moralnych”.

Rewald: Ale wtedy firmy były małe.

Gwiazdowski: Z czasem w historii kapitalizmu pojawiły się kryzysy. Jak w życiu ludzkim. Gorzej się czujemy, mamy stresy...

Piątek: Niektórzy wyskakują przez okna.

Gwiazdowski: Skoro mamy kryzys podobny do tego z lat 20., czemu teraz nie wyskakują?

Rewald: Bo to tylko pieniądze...

Kurkiewicz: Odwróćmy głowy od Manhattanu. Ofiarami systemu bankowego w Indiach padają dziesiątki tysięcy chłopów, którzy się zapożyczyli na małe, w naszym rozumieniu, sumy. Nie są ich w stanie spłacić i popełniają samobójstwa, bo nie mogą utrzymać rodziny. Tam możemy zobaczyć konkretnych ludzi, a nie przedstawicieli wyalienowanej klasy, która w chwili kryzysu zstępuje z nieboskłonu wieżowca, by obejrzeć nogi tancerki w klubie, pijąc whisky. Są jak bogowie na Olimpie.

Gwiazdowski: Czy ci bogowie na Olimpie walczą o następny milion dolarów?

Kurkiewicz: To jest ich jedyne marzenie.

Gwiazdowski: Chodzi o pieniądze dla samych pieniędzy? Chciwość?

Czerwińska: Chciwość obok pychy jest jednym z grzechów głównych.

Gwiazdowski: Oni tam na samej górze nie potrzebują kolejnego miliona dolarów. Oni doprowadzili do kryzysu, żeby utrzymać władzę.

Czerwińska: Dlaczego nie kandydują na prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Gwiazdowski: Oni tam na samej górze nie potrzebują kolejnego miliona dolarów. Oni doprowadzili do kryzysu, żeby utrzymać władzę.

Czerwińska: Dlaczego nie kandydują na prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Gwiazdowski: Oni tam na samej górze nie potrzebują kolejnego miliona dolarów. Oni doprowadzili do kryzysu, żeby utrzymać władzę.

Gwiazdowski: Prezydent USA to jest przy nich mały pikus. A tych milionów, o których mówimy, nie ma. One są czysto wirtualne.

Piątek: Pan jest zajadłym przeciwnikiem współczesnego kapitalizmu.

Gwiazdowski: Tak, bo to nie jest kapitalizm. Capita to głowa. Tu jest kapitał. I stąd jest słowo „kapitalizm”. Smith w „Bogactwie narodów” pisze, że bogactwo nie bierze się z kapitału finansowego, nie bierze się z zasobów, które są zużywalne. To się bierze z łba.

Kurkiewicz: Człowiek nie składa się tylko z głowy, ale też z serca, z uczuć, z relacji z innymi ludźmi. I na to w kapitalizmie miejsca nie ma. Jedyna miłość, która się przejawia w tym filmie, to jest miłość do umierającego psa w momencie, kiedy naokoło giną ludzie.

Gwiazdowski: Mamy model metra w Sewrze i drut, który ma metr dziesięć. To też jest metr.

Piątek: Pan jest rzecznikiem utopii kapitalizmu. A my ścieramy się tu z rzeczywistością.

Gwiazdowski: Ta rzeczywistość się wzięła stąd, że świat finansów i świat polityki, które wcześniej miały różne cele, zaczęły mieć cele jednaki. Amerykański sekretarz skarbu Henry Paulson był wcześniej prezesem banku Goldman Sachs, premier Włoch i premier Grecji to byli pracownicy Goldman Sachs.

Gwiazdowski: Świat stanął na głowie, bo uznał, że wszystko można wyprodukować, pod warunkiem że ktoś to kupi. Że można manipulować po pytem za pomocą instrumentów finansowych. No i się zaczęła bajka. Banki centralne kreowały instrumenty finansowe, potem nadkreowały je banki inwestycyjne. Dlatego świat jest pełen pieniędzy, których nie ma.

Gwiazdowski: Gdyby ci na górze przyznali „przełajnowalność”, z ich kont nie zniknęłyby dziesiątki milionów dolarów. Oni by wyszli na frajerów. Dlatego próbują zrobić frajerami innych.

Rewald: Manipulujesz teraz faktami strasząc nie. System nie został stworzony przez jakąś grupę, która postanowiła zrobić z ludzi frajerów. Ten system wyewoluował z kapitalizmu korporacyjnego, bo na rynku pojawiło

się więcej pieniędzy, niż gospodarka mogła wchłonąć. To wynikało z dwóch powodów.

Po pierwsze, upowszechniła się gra giełdowa. Po drugą przyczyną są chińskie pieniądze.

Gdyby chińska gospodarka była gospodarką wolnorynkową, one zostałyby wchłonięte w tej gospodarce. Ale tam nadwyżką zarządza w sposób autokratyczny Komitet Centralny, który lokował je w Ameryce.

Kurkiewicz: W Ameryce Komitet Centralny Banków robił dalej to samo...

Rewald: Zaczęli tworzyć instrumenty finansowe, żeby pieniądze dalej produkowały zysk.

Kurkiewicz: Banki kierują się filozofią, która zeruje na psychologii i w ten sposób uzasadnia istnienie giełdy, największego kasyna w historii świata. Człowiek kompensuje sobie różne wewnętrzne braki tym, że potrzebuje dreszczu emocji, ponieważ człowiek jest fabryką narkotyków. Władza daje mu adrenalinę, poczucie mocy.



Kevin Spacey w „Chciwości” zagrał irwiozerczego menedżera. Obyśm w realnym życiu na takich jak on nie trafiali

System bankowy uznał: tacy właśnie są ludzie i teraz my damy im do zabawy te bańki. Wszystkie inne wartości w ludzkim życiu stają się nieważne. W filmie „Chciwość” widzimy ludzi maszyny, którzy panicznie boją się utraty pracy. Tylko dwóch ma do czego wracać: jeden, bo zbudował w życiu most, a drugi - bo wie, jak to się dzieje, że rakieta leci.

Gwiazdowski: No właśnie, ci ludzie potrafią coś konkretnego.

Kurkiewicz: Wracamy do wątku, że ekonomści nie potrafią nic konkretnego, ale potrafią wymyślić zabawkę, która nas wciąga w wir.

Gwiazdowski: Ja bardzo przepraszam: makroekonomści. To oni razem z politykami doszli do wniosku, że można zarządzać światem poprzez sterowanie popytem.

Rewald: Teoria spiskowa nie przejdzie!

Gwiazdowski: Ja jestem zwolennikiem teorii chaosu. Każdy ciągnie w swoją stronę i coś z tego w jakiś sposób wychodzi.

Kurkiewicz: A kasa płynie w jedno miejsce.

Rewald: W tym filmie wszyscy są ofiarami.

Kurkiewicz: Całe życie marzyłem, żeby być taką ofiarą jak filmowy prezes.

Rewald: W tym filmie wszyscy są ofiarami.

Kurkiewicz: Całe życie marzyłem, żeby być taką ofiarą jak filmowy prezes.

Rewald: W tym filmie wszyscy są ofiarami.

Kurkiewicz: Całe życie marzyłem, żeby być taką ofiarą jak filmowy prezes.

Rewald: Są ofiary lepsze i gorsze.

Czerwińska: Ale nie ma winnych. Co sprawiło, że ten system się zdegenerował, jeśli nie była to chciwość?

Rewald: Ci ludzie wiedzieli, że problem narasta. I powinni zareagować, ale zarabiali za dużo pieniędzy. Bo jak się dużo zarabia, zaczyna się to wszystko wydawać. To nie jest już chciwość, tylko próba utrzymania poziomu życia. Nikt nie chce spaść.

Piątek: Czy to nie jest właśnie chciwość?

Rewald: Chciwość to chcieć więcej.

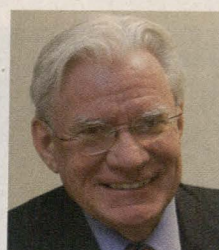
Piątek: I oni cały czas chcą więcej, żeby utrzymać swój rosnący poziom życia.

Rewald: Oni są ofiarami, ponieważ nie zadziałały mechanizmy ochronne. Popatrzcie, co się stało z ustawą o farmaceutykach. Wszyscy mówili, że będzie źle, a rząd uważał, że będzie dobrze. W systemie finansowym też były sygnały, że przekraczamy marginesy bezpieczeństwa.

Kurkiewicz: Mnie się wydaje, że tu вина jest rozłożona bardzo szeroko. Jedyną uczciwą osobą w filmie jest prezes, który podejmując nieuczciwą decyzję o sprzedaży bezwartościowych papierów, nie ma wątpliwości: →



Anna Czerwińska,
feministka, ekolog



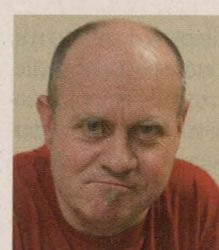
Roman Rewald,
prawnik, partner
amerykańskiej kancelarii
prawnej Weil, członek
zarządu i wieloletni
prezes Amerykańskiej
Izby Handlowej



Robert Gwiazdowski,
profesor prawa,
advokat, prezydent
Centrum im. A. Smitha



Tomasz Piątek,
pisarz, twórca reklam



Roman Kurkiewicz,
redaktor naczelny
„Przekroju”

MAREK RACZKOWSKI

→ wszyscy przez 40 lat dzień w dzień robiliśmy to samo.

Czerwińska: Ale on z premedytacją rujnuje system, aby samemu mieć zyski. Żeby utrzymać władzę. Bo czym jest władza?

Gwiazdowski: Władza polega na tym, że decydujemy o tym, co mają zrobić inni.

Czerwińska: Ale w jakim celu to robimy?

Gwiazdowski: Dla samej władzy.

Piątek: Nie można oddzielić władzy od zysku.

Gwiazdowski: Można. Realny prezes, nie filmowy, realnego banku Goldman Sachs w 2009 r. w Londynie na pytanie o ich milionowe wynagrodzenia w czasie kryzysu odpowiada: „Wykonujemy boską robotę”.

Kurkiewicz: Symboliczny jest obraz panowania nad światem z wężem. Patrzymy na miasto z góry. Akurat dzisiaj miał się odbyć marsz ruchu Occupy na Kapitol. On spalił na panewce, bo przyszło 150 osób. Ale na Wall Street przyszły tysiące. Ludzie wiedzą, gdzie jest prawdziwa władza.

Gwiazdowski: Ale ilu ludzi protestujących na Wall Street miało w kieszeniach najnowszy model i-Phone'a kupiony na kartę kredytową?

Kurkiewicz: Bohater słynnego opowiadania Marka Twaina z XIX w. miał banknot milionfuntowy i nie był w stanie za nic nim zapłacić. Ale wszyscy, którzy widzieli ten banknot, byli zaszczyceni, że mogą z tą osobą się przyjaźnić, i fundowali mu wszystko.

Gwiazdowski: Czy filmowy prezes zapłaci za swój lunch?

Kurkiewicz: Moim zdaniem ten człowiek nie widział pieniędzy od kilkudziesięciu lat.

Gwiazdowski: A czy premier Tusk płaci za swój lunch? Chciwi pieniądze jesteście my na dole, ale od pewnego poziomu zmienia się perspektywa. To nie jest chęć posiadania nowego mercedesa, tylko chęć bycia w pozycji, z której decyduje się o losie innych.

Czerwińska: Rozumiem, że chciwość kieruje życiem tych wszystkich ludzi, którzy nie mają dostępu do szklanych wieżowców. A w szklanych wieżowcach są ofiary, które nie mają nawet okazji swoich pieniędzy wydać.

Rewald: Dążenie do zysku od zawsze jest motorem postępu.

Czerwińska: Chciwość kieruje nami wtedy, kiedy chcąc się rozwijać, tracimy z horyzontu zasady etyczne.

Gwiazdowski: Kiedy kradniemy, to się nie nazywa chciwość, tylko złodziejstwo.

Rewald: Przecież oni nie sprzedają bezwartościowych papierów biednemu człowiekowi w Indiach, tylko innemu bankowi. Wszyscy wiedzą, jak to działa.

Kurkiewicz: Szanowny panie, gdybym ja panu chciał sprzedać mój telefon, wiedząc, że w środku jest upchnięte moje drugie śniadanie, wiedząc, że pan mi ufa...

Rewald: To byłoby oszustwo.

Piątek: Dokładnie to oni zrobili.

Rewald: Jeżeli ja jestem handlarzem telefonów, a pan mi sprzedaje telefon, o którym pan myśli, że jest wart znacznie mniej, a ja mogę znaleźć kupca, który da za niego więcej – to już nie jest oszustwo, to jest działanie rynku. Przecież Madoff nabierał ludzi, obiecując im niemożliwe zyski. Oni chcieli być nabrani.

Piątek: Ale czy to go rozgrzesza?

Gwiazdowski: Proszę zobaczyć, co się dzieje na samym dole. Sprzedawca używanych samochodów wciśnie swojemu klientowi cokolwiek.

Kurkiewicz: Rozmawiamy tu jednak o produktach wirtualnych. Rynek finansowy wytwarza zarówno obietnice, jak i potrzeby, a także odpowiadające na te potrzeby produkty, które nie mają żadnego zakotwiczenia w rzeczywistości.

Rewald: Cały rynek kredytów hipotecznych oparto na założeniu, że one zawsze będą spłacane. I zawsze będzie rosła wartość nieruchomości. Ludzie brali te pożyczki.

Kurkiewicz: Bo je im wciskano.

Rewald: Ktoś udzielał kredytu i odsprzedawał dług innemu. Już nie był za to odpowiedzialny. A ci, którzy kupowali, odsprzedawali jeszcze komuś innemu. Na takie praktyki zezwolił rząd. Bo uznał, że wolna gospodarka rynkowa da sobie radę bez rządowych regulacji.

Kurkiewicz: Dlaczego kioskarka, która w jednym z warszawskich kiosków zrobiła ksero pewnemu obywatelowi, a nie wydała mu paragonu, została skazana na grzywnę 500 zł? Nie było wątpliwości, że jest winna

przestępstwa fiskalnego. A tutaj mamy do czynienia z dramatem na skalę światową. Struktury systemowe zdejmują odpowiedzialność z ludzi, którzy podejmują decyzje.

Rewald: One nie zdejmują odpowiedzialności, one jej nie nakładają. Panią w kiosku obowiązywało prawo, które mówi: „musisz wydać paragon”. A tam prawa nie było.

Piątek: Rząd z pieniędzy podatników wyklada kupę kasy na to, żeby ratować banki. A jak upada fabryka butów w Lublinie...

Kurkiewicz: Gdyby kapitaliści rządili się zasadami sprawiedliwości, kapitalizmu nie byłoby od wielu, wielu lat.

Gwiazdowski: Bankructwo nie jest wadą kapitalizmu, jest jego systemową zaletą. Pada ją ci, którzy źle wykorzystywali ograniczone zasoby. Ale te zasoby nie znikają. Przejmują je ci, którzy dotąd robili ze swoich zasobów lepszy użytek.

Czy my mamy globalną katastrofę? Zarzynamy się na ulicy, ludzie z głodu padają jak muchy?

Kurkiewicz: W miejscu, w którym rozmawiamy, jeszcze dwa miesiące temu pracowało dwa razy więcej ludzi.

Rewald: Rząd amerykański długo nie miał pojęcia, co się dzieje. Kiedy kryzys stał się faktem, rząd musiał podjąć decyzję. Teraz można powiedzieć, że ona była zła, ale wtedy nikt nie wiedział, czy nie padnie cały rynek.

Czerwińska: W filmie nie ma winnych, ale są dwa kozły ofiarne. Nie wiem, czy to przypadek, że jednym z nich jest kobieta.

Gwiazdowski: A kto jest odpowiedzialny za błędy i wypaczenia w socjalizmie? Ja protestuję przeciwko nazywaniu czarnego białym. Kapitalizm, który jest, nie jest już kapitalizmem. Adam Smith tylko opisał pewien mechanizm. On go nie stworzył.

Kurkiewicz: Karol Marks nie stworzył Związku Radzieckiego. On tylko opisał rzeczywistość XIX-wiecznej Anglii. I dzisiaj ta opowieść do nas wraca, Marksa trzeba czytać na nowo.

Piątek: Filmowy Sam reprezentuje to, czego obaj panowie bronicie. Czyli etykę kapitalizmu. Sam wierzy w dobro firmy. Wierzy w dobro pracowników. Wierzy w dobro kontrahenta. Bo trzeba sprzedawać towar tak, żeby

kontrahent chciał znowu coś od nas kupić. On chce być uczciwym kapitalistą. Jak pan Robert. Jak Adam Smith.

Okazuje się, że ta jego etyka ma zastosowanie ograniczone. Samowi każą robić coś, co będzie tragiczne dla niego, dla kontrahentów i dla pracowników. Od tej operacji zacznie się światowy kryzys. I Sam ustępuje. Bo ta jego etyka była etyką bardzo małego świata. Była etyką człowieka prywatnego, etyką, która nie nadaje się już do zastosowania w sferze publicznej.

Kurkiewicz: Wcześniej jest mocna scena zwolnienia 80 proc. ludzi pracujących na jednym piętrze. Bo egzekucja XXI w. nie polega na tym, że komuś strzelamy w potylicę, tylko mu wręczamy kartonowe pudełko na rzeczy.

Piątek: Świat nie kończy się wyciem, tylko skłomieniem.

Kurkiewicz: Jak Sam reaguje? Wychodzi do swoich podwładnych i zaczyna bić brawo. I ci, którzy ocaleli, biją brawo. Moment upokorzenia staje się manifestacją lojalności wobec firmy. Nie ma tu żadnego napięcia między etyką publiczną a prywatną, tu wszystko jest prywatne. Sfera publiczna pojawia się raz, kiedy bankowcy na ulicy patrzą na śmieciarza. To są zwykli ludzie, którzy nie wiedzą, że zaciwnili im się zawali świat.

Gwiazdowski: Czarownicy w wieżowcach banków obiecali politykom, że spuszczą deszcz doobytu na społeczeństwo. Ale ten deszcz nie padał od zaklęć, tylko od tego, że kucharz ugotuje obiad, a śmieciarz wywiezie śmieci.

Upadek kapitalizmu nie bierze się z chciwością. Taka teza jest nieprawdziwa.

Kurkiewicz: Powiedzmy to mocno: upadek kapitalizmu bierze się z jego cnoty, z jego empatycznego wglądu w dobro powszechne.

Rewald: Nie ma cnoty. Jest realizm. Wszyscy, którzy mówią, że wolny rynek sam się reguluje, są fantastami. Moja wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka. Wolność ekonomiczna również. I niezbywalną funkcją państwa jest troska o to, żeby nie powstały monopole. Żeby nikt nie był na rynku dyskryminowany. Moim zdaniem rząd amerykański trochę to sobie odpuścił.

Kurkiewicz: Po obejrzeniu tego filmu postanowiłem zlikwidować swoje konto bankowe. Bo jakim prawem mnie się zmusza do podtrzymywania tego systemu?

Rewald: Ja wyniosłem potwierdzenie tego, że winnych nie należy szukać w sektorze finansowym. To państwo musi rygorystycznie stosować regulacje.

Czerwińska: Ja wyszłam wkurzona, że wobec kryzysu jestem bezsilna. Nie znalazłam tam żadnego usprawiedliwienia zła tego świata, tylko piekło.

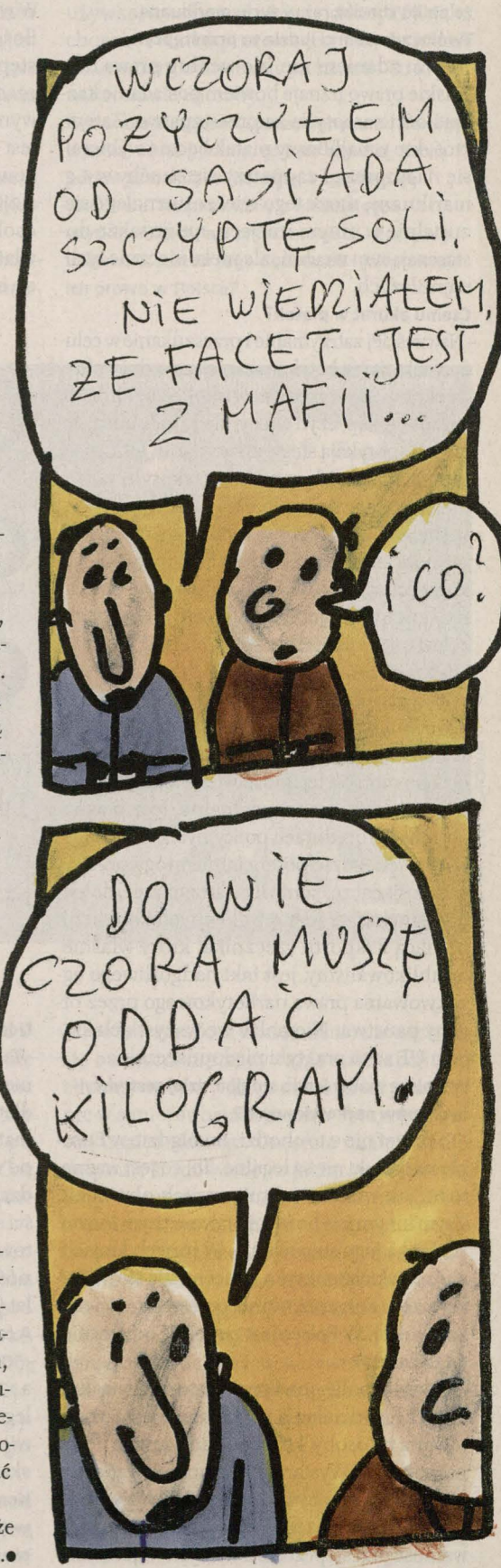
Kurkiewicz: Wściekam się, kiedy słyszę, że jest jakieś zło. Zawsze są konkretni ludzie, którzy podejmują konkretne decyzje.

Czerwińska: Zgodzę się z tobą – to jest film o złych ludziach. Jedyną ich namiętnością jest miłość do pieniędzy. Wyszłam bez złudzeń, że to się da naprawić.

Gwiazdowski: Ja pomyślałem: „A nie mówiłem?”. Kiedy byłem na forum ekonomicznym w Krynicy w 2006 r., pojawiła się informacja: spadła cena ropy, zła wieści dla sektora paliwowego. Pomyślałem: „Jak to możliwe?”. Przecież kiedy spada cena skóry, to jest dobra wiadomość dla szewca. Próbowałem w Krynicy tą mądrością się podzielić, ale wszyscy patrzyli na mnie jak na wariata. Wróciłem więc do Warszawy i założyłem blog. Bo zrozumiałem, że na obniżce cen ropy traci nie sektor paliwowy, tylko sektor finansowy, który opanował sektor paliwowy.

Piątek: Dla mnie ten film jest moralitetem bez morału, i to jest mój ulubiony gatunek. Pokazuje rozmycie odpowiedzialności w strukturach, w których każdy zarabia a to ćwierć miliona, a to 80 mln, a winę za błąd ponosi anonimowa formuła, za którą nikt nie chce wziąć odpowiedzialności. Podobają mi się, że ciężar tej odpowiedzialności, mimo że jest rozmyta, czuć w każdym kadrze.

Kurkiewicz: A ja wyszedłem z poczuciem, że chce mi się robić „Przekrój”, bo jest po co.



Prawie dwa miliony Polaków przyznaje, że paliło chociaż raz w życiu marihuane. Twoim zdaniem ci ludzie to przestępcy?

- Moim zdaniem nie, ale według prawa tak. Polskie prawo uznaje bowiem posiadanie każdej ilości narkotyku za przestępstwo. Zatem ktoś, kto w najbliższy piątek będzie wybierał się na imprezę i zaopatrzy się choćby w 1 g marihuany, może tego wieczoru znaleźć się zupełnie w innym miejscu, może także dostarczającym wrażeń, ale niekoniecznie tych najmiłszych.

Czemu akurat w piątek?

- Najczęściej zatrzymanie i przeszukanie w celu znalezienia narkotyku ma miejsce w dni wolne, weekendy, wieczorami, w okolicach klubów, parków, knajp, czyli wtedy, kiedy ludzie idą się bawić, spotykają się ze znajomymi. Jeśli więc policjanci znajdą u ciebie narkotyk, zostaniesz przewieziony do izby zatrzymań. Tam spędzisz 24 godziny, po czym przyjdzie do ciebie policjant i po wykonaniu telefonu do prokuratora zaproponuje ci dobrowolne poddanie się karze. Najczęściej to sześć miesięcy pozbawiania wolności w zawieszaniu na dwa lata.

Skąd taka pewność?

- Wszyscy moi klienci zatrzymani z małymi ilościami narkotyków opowiadają podobne scenariusze wydarzeń w trakcie ich zatrzymania i po nim. Na tej podstawie twierdzę, że nie są to zachowania incydentalne, lecz pewna norma w procedurach policyjnych. Polowanie w miejscu, gdzie potencjalnie mogą przebywać posiadacze, kontrola, zatrzymanie, dołek, przesłuchanie. Jedną z głównych konkluzji płynącą z raportu rzeczownika, który właśnie opublikowaliśmy, jest fakt nadgorliwego egzekwowania prawa narkotykowego przez organy państwa. Niemalże we wszystkich krajach UE są to praktyki niedopuszczalne.

W Polsce mamy jedno z najbardziej restrykcyjnych praw narkotykowych?

- To nawet nie o to chodzi. Bo nigdzie w Europie narkotyki nie są legalne. To, co jest ważne, to to, jak władze traktują swoich obywateli. Czym innym jest bowiem prawo, a czym innym praktyka jego stosowania. W innych krajach europejskich praktyka koncentruje się na wykrywaniu zorganizowanej przestępczości narkotykowej. W Polsce jest zupełnie odwrotnie.

Co to znaczy?

- Praktyka policyjna i prokuratorska w zakresie przeciwdziałania narkomanii jest zorientowana na osoby, które posiadają małe ilości narkotyków. Wystarczy przeanalizować statystyki policyjne, by to zobaczyć. Porównując dane z lat 1998 i 2008, widać jasno, że wykrywalność przestępczości narkotykowej wzrosła

o 1500 proc., z 1380 przestępstw do ok. 30 tys. W większości są to osoby, które posiadały małe ilości. Wykrywalność zorganizowanej przestępczości narkotykowej wzrosła zaś w tym czasie jedynie o kilka procent. Dlatego typowym przestępcą narkotykowym w Polsce nie jest diler czy ktoś związany z mafią narkotykową, ale mężczyzna w wieku pomiędzy 18. a 28. rokiem życia - licealista, student lub osoba pracująca w przeciętnej firmie. I to są właśnie osoby, które najczęściej zgłaszają się do mnie po pomoc.

gdzie wymagany jest warunek niekaralności. Wśród takich zawodów są: prawnik, nauczyciel, urzędnik państwowy czy ochroniarz. Dodatkowo coraz częściej także pracownik korporacji musi dostarczać pracodawcy zaświadczenie o niekaralności, ponieważ wymaganie tego dokumentu w dzisiejszych czasach stała się standardem. Taka osoba nie może także wyjechać do krajów, w których przewidziany jest obowiązek wizowy, m.in. do USA i Australii. Powołałaś się na początku rozmowy na badania. Te prawie dwa mln dorosłych Polaków

Odróżnić dilerą od zwykłego człowika

Musimy ucywilizować narkotyki. Trzeba je zacząć traktować jak używkę, a uzależnienie od nich jak chorobę - przekonuje w rozmowie z Mają Ruzpęł **AGNIESZKA SIENIAWSKA**



Udaje ci się ich sprawy wygrać?

- Tak. Program rzeczownika może pochwalić się niemal 100-procentową skutecznością. Także dlatego, że polscy sędziowie podchodzą do tematu rozsądnie. Bo prokuratorzy, niezależnie od warunków osobistych sprawy, ilości i rodzaju posiadanego narkotyku oraz okoliczności sprawy, zazwyczaj proponowali delikwentowi karę sześciu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszaniu na okres próby dwóch lat (tzw. zawiasy).

A co z tymi, którzy do ciebie nie trafiają?

- 500 osób rocznie odsiadyuje karę więzienia, a 17 tys. jest skazywanych na tzw. zawiasy, podlega karze grzywny lub ograniczenia wolności, więc tym samym z urzędu widnieją w rejestrze skazanych z powodu posiadania narkotyków.

Konsekwencje tego są różnorakie. Figurowanie w rejestrze wiąże się z tym, że taka osoba nie może ubiegać się o pracę na stanowisku,

to osoby, które przyznają, że miały kontakt z marihuaną. Ale ile jest takich, które miały kontakt i nie przyznają się do tego? Tę liczbę trzeba szacować na dużo większą - w 2010 r. do kontaktu z narkotykami wytwarzanymi z konopi przyznało się 36 proc. uczniów. To także według prawa przestępcy. Tymczasem według medycznego pisma „The Lancet” jeśli idzie o szkodliwość używek, marihuana znajduje się na ósmym miejscu. Jako dużo o niebezpieczniejsze naukowcy zaklasyfikowali zarówno tytoń, jak i alkohol.

A według badań PARPA około miliona Polaków to alkoholicy. Hipokryzja?

- Oczywiście, to że alkohol jest legalny, jest kwestią kulturową. Marihuana, jak i inne narkotyki, to temat demonizowany, który trzeba odczarowywać. Jeśli ktoś wypije dwa kieliszki wina, na nikim to nie zrobi wrażenia, prawda? Jeśli zaś zapali marihuane, może od razu

wiązującej ustawie. De facto była ona potrzebna, ale naprawdę nieznaczna.

Nieznaczna? Usłyszeliśmy przecież wówczas, że premier poparł mafię...

- Narkotyki zostały sprowadzone do czystego populizmu. Jeśli nie wprowadzimy dalszych zmian w prawie, poprawka, o której mówimy, może okazać się martwa. Umożliwienie umiarkowanego postępowania w przypadku posiadania nieznacznej ilości narkotyków i stwierdzenia niecelowości kary (art. 62a) to tylko uchyłona furtka, z której polscy prokuratorzy mogą skorzystać, ale nie muszą, bo nic ich do tego nie zobowiązuje. Znowu wracamy do praktyki stosowania prawa, a nie tylko tego, co jest napisane w ustawie. W prawie istnieje jedynie pojęcie „ilość nieznaczna” narkotyku i „ilość znaczna”. Ale nikt nie wie, ile to jest. Konsekwencją są sytuacje, kiedy ludzie popełniający to samo przestępstwo nie są równo traktowani.

Na przykład osoba posiadająca 3 g marihuany i druga mająca 30 g, czyli niedzielny palacz i diler. To najlepiej obrazuje, jak potrzebna jest tabela, która będzie określać, jakie ilości narkotyku policja może uznać za ilości posiadane na własnych użytek.

Już słyszę ten powszechny krzyk, że każdy diler będzie chodził z małą ilością i wtedy całe społeczeństwo się zdemoralizuje, bo narkotyki będą powszechnie dostępne...

- Teraz też nie ma problemu z kupnem narkotyków. Mafie narkotykowe na całym świecie nale-

narkotyków? Traktować ich tak samo, jak używkę, a uzależnienie od narkotyków jako chorobę? Nadal przecież jest tak, że ludzie uzależnieni od heroiny są karani. To kryminalizowanie choroby...
Z rozmów z osobami uzależnionymi od heroiny wynika, że na pytanie, co było używką, którą potem zamienili na heroinę, odpowiadają - alkohol... Rozmawiamy o niedzielnych użytkownikach, ale przecież są i ci, którzy się uzależnili. Jak od tego dochodzi? I jak traktuje ich prawo w Polsce?

Agnieszka Sieniawska jest prawniczką z Biura Rzecznika Praw Osób Uzależnionych, współautorką pierwszego w Polsce raportu na temat prawa stosowanego wobec użytkowników narkotyków w Polsce

Coś co nie jest zakazane, nie jest już tak atrakcyjne. W Holandii narkotyki kupują głównie cudzoziemcy



Jerry Lampen/REUTERS/FORUM

Apel o niejednoczenie lewicy



ADAM OSTOLSKI
Autor felietonu
jest socjologiem

Znowu słyszy się o jednoczeniu lewicy... Trudno dziś o bardziej zgrany hacior: wezwania takie towarzyszą nam już od kilku politycznych sezonów. Można by nawet pomyśleć, że są tu od zawsze. I chociaż jednoczenie jakoś się dotąd nie udawało, to sam pomysł wydaje się oczywisty. Skoro mamy w Sejmie aż dwie partie odwołujące się do lewicowych wyborców, to czemu nie miałyby one zjednoczyć się, aby w następnych wyborach odsunąć prawicę od władzy?

To jednak nie takie proste. Dlatego chciałbym w tym miejscu wystosować apel - o niejednoczenie lewicy. Skłaniają mnie do tego trzy powody. Po pierwsze, diagnoza, zgodnie z którą słabość lewicowych partii w dzisiejszej Polsce to efekt trwającego od 2004 r. „rozbięcia” lewicy, jest nieporozumieniem. Takie stawianie sprawy w gruncie rzeczy odwraca uwagę od rzeczywistych źródeł problemu. Przede wszystkim pozwala nie myśleć o tym, w jaki sposób rządy Sojuszu Lewicy Demokratycznej w latach 2001-2005 zniechęcały do siebie lewicowych wyborców. Rządy Leszka Millera i Marka Belki prowadziły w wielu obszarach prawicową politykę: przyłączając się do agresji na Irak, wprowadzając liniowy PIT dla przedsiębiorców, likwidując Fundusz Alimentacyjny i dotację do barów mlecznych, przymykając oczy na korupcję, zawierając z Kościołem katolickim niepisany

układ w sprawie nienowelizowania ustawy antyaborcyjnej itd., itp. Litania grzechów nominalnie lewicowych rządów jest dość długa i aż nadto dobrze znana. A jednak nic nie wskazuje na to, by rzeczywiście wyciągnięto z niej wnioski.

Opowieść o „rozbięciu” lewicy, choć psychologicznie bardzo wygodna, nie pozwalała jednak zrozumieć prawdziwych przyczyn porażki i nie dawała motywacji do szukania rzeczywistych rozwiązań. Moralistyczny ton, z jakim postkomunistyczni aparatczycy potępiali „klótnie” i „spory”, tylko pogłębiał to niezrozumienie. Przede wszystkim zaś nie pozwalał dostrzec ceny, jaką przyszło parlamentarnej lewicy zapłacić nie za rozbięcie, lecz właśnie za nadmierną jedność, która zapanowała po wyborczym zwycięstwie koalicji SLD - UP w 2001 r. Dominacja jednej partii rozleniwiała i sprzyjała lekceważeniu własnych wyborców. Po co się o nich zmartwić, skoro można zakładać, że i tak nie będą mieli dokąd pójść...

Tak dochodzimy do drugiej kwestii. Partie odwołujące się do lewicowych wyborców nie powinny się jednoczyć, ponieważ konkurencja jest w polityce rzeczą pożyteczną. Wyborcy powinni mieć możliwość wyboru między lewicą a lewicą, gdyż wybór między lewicą a prawicą nie jest żadnym wyborem. To nie przypadek, że w większości krajów Europy w parlamencie reprezentowane są dwie, trzy, a czasem nawet więcej lewicowych partii. Mogą one razem rządzić, jeśli zdobędą większość, ale w wyborach startują osobno.

To bardzo ważne z punktu widzenia wyborcy. Dzięki temu może on dać wyraz niezadowolaniu z polityki partii, na którą dotychczas głosował. Jeśli jest tylko jedna lewicowa partia i zmienia ona program w nieakceptowalnym kierunku lub okazuje się z jakichś powodów niewiarygodna, jej wyborcy mają niewielkie pole manewru: mogą przejść na drugą stronę barykady i zagłosować na prawicę, mogą zrezygnować z udziału w wyborach albo... zagryźć wargi i głosować na nią mimo wszystko. W takim układzie mamy swego rodzaju mo-

nopol: partyjny aparat może prawie wszystko, a wyborca - bardzo niewiele. Nie musi chyba dodawać, jak mało to ma wspólnego z demokracją.

No i trzeci powód: aby mieć przekonanie, że w wyniku procesu jednoczenia uzyskają się zjednoczoną lewicę, trzeba się upewnić, że składniki tej kombinacji są lewicowe. To jednak obie partie odwołujące się do lewicowych wyborców - Ruch Palikota i Sojusz Lewicy Demokratycznej - będą dopiero musiały udowodnić w działaniu.

Trzy miesiące po wyborach to jednak nie jest jeszcze jasne. W przypadku SLD nie jest nawet jasne, czy w ogóle chce być opozycją. Znamienne, że w debacie po exposé Donalda Tuska Leszek Miller zasadniczo premiera pochwalił, krytykując go tylko w jednej kwestii, którą z braku lepszego określenia można nazwać geograficzną: upierał się przy tym, że „Polska nie jest wyspą”. Tę wiedzę zyskują jednak dzieci w szkole na dość wczesnym etapie kształcenia... Jeśli lider opozycyjnej partii uważa to za odkrycie godne tego, by dzielić się nim z całą Polską, to oczywiście można się cieszyć, że były premier wciąż się uczy, ale na miłość boską, ile jeszcze będzie się uczyć?

Trochę lepiej jest z Ruchem Palikota, który co jakiś czas ogłasza, że zamierza złożyć w Sejmie taki czy inny projekt: nowelizację Kodeksu pracy, zmiany w prawie narkotykowym, nową ustawę o świadomym rodzicielstwie... To ważne ustawy, a proponowane zmiany idą w dobrym kierunku. Ale to są zarazem ustawy trudne do przeprowadzenia w obecnym układzie politycznym. Testem wiarygodności będzie to, czy Ruch Palikota będzie zdolny nie tylko je proponować, ale także skutecznie przeprowadzać.

Spór o to, czy się jednoczyć, czy nie jednoczyć, także dziś zastępuje dyskusję o sprawach realnych. O tym, jak obie partie rozumieją lewicowość, jaką chcą być opozycją wobec rządów Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego, jaki mają pomysł na reprezentowanie swoich wyborców, jaki kształt Polski proponują.



Jak dobrze dopasować rurki?

MODA

CIEKAWSZA STRONA KOBIECOCI

kobieta.wp.pl

Dziwne miny robią swoje

Pijany, naćpany, a może z dziurą w mózgu? Przez parę dni internauci zastanawiali się, co się stało ze znanym aktorem **BARTKIEM TOPĄ**. Nikt nie pomyślał, że może być po prostu chory na autyzm

JACEK TOMCZUK

Wśród tematów telewizyjnego „Pytania na śniadanie” 11 stycznia pannało noworoczne rozleniwienie: relacja z myjni dla psów czy wskazówki, jak próbować wina. Opowieść o dzieciach księży katolickich wydawała się szczytem kontrowersji. Bartek Topa, urodzony góral, miał być ekspertem od mody narciarskiej. Tyle że coś mu nie szło. Nie opowiadał z zakupiańską swadą o tegorocznych trendach, nie podnosił oglądalności programu błyskotliwymi dowcipami. Zamiast tego długo przyglądał się fakturze wybranej jaskrawozielonej czapki leżącej w stosie prezentowanych ubrań. Przesunął palcem po kasku w równie agresywnym kolorze. – Ja jeżdżę na nartach... ale... ze stoku jeżdżę – odpowiedział na pytanie, jakie stroje preferuje. – No, ale Bartku, wolisz kurtkę czy kożuch? – dopytywał się prowadzący. – Nie lubię kożucha na mleku – odpowiedział Topa. Kamerzysta dostał szybko sygnał z reżyserki, by kręcić raczej modeli niż aktora, prowadząca – by nie zadawać mu już pytań, a cały program skrócono o dwie minuty (a potem usunięto ze strony internetowej TVP).

Internauci nie mieli wątpliwości: „A kto to jest? Pijak albo ćpun, a nie aktor”. Tabloidy zresztą też: „Wielka wtopa Bartka Topy”. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że to początek akcji społecznej „Autyzm wprowadza zmysły w błąd”. Reżyser Tomek Wlaziński i aktor Bartłomiej Topa z Fundacją SYNAPSIS zorganizowali akcję pokazującą sytuację psychologiczną człowieka chorego na autyzm, chcieli uczulić na tę sytuację społeczeństwo. – ONZ oficjalnie uznał autyzm za jeden z najpoważniejszych problemów zdrowotnych świata obok raka, cukrzycy i AIDS. Eksperci podkreślają,

że autyzm jest najczęściej występującym zaburzeniem rozwojowym i alarmują, że każdego roku będzie przybywać dzieci dotkniętych tym problemem. Stąd pomysł na tego rodzaju kampanię informacyjną – deklaruje Łukasz Kościuczuk z SYNAPSIS.

– Wyobraźmy sobie, co by było, gdybyśmy któregoś dnia obudzili się, a żaden z dotychczas poznanych zmysłami schematów nie był taki jak zawsze: sól byłaby gorzka, wrzątek by nie parzył, ludzie zamiast mówić, wydawaliby niezrozumiały dla ucha szum, a oczy widziały najmniejsze pyłki powietrza, które nieustannie wirując, zasłaniają świat. I okazuje się, że to nowe postrzeganie dotyczy tylko nas, podczas gdy wszyscy dookoła zdają się nie zauważać zmian. Tak właśnie może wyglądać świat osoby z autyzmem – twierdzi terapeutka fundacji Joanna Grochowska. Szacuje się że w Polsce autyzm jest u jednego na 300 dzieci.

Kolejnym etapem akcji było wpuszczenie do Internetu dwóch filmów nagranych telefonem komórkowym. Na pierwszym Topa wchodzi do wagonu metra, wcześniej parę tygodni uczestniczył w warsztatach z 15-letnim Maciem, chorym na autyzm, uczył się „roli”. Zatyka uszy, nie może znieść pisku wagonu na torach. Z ciekawością przygląda się pulsującym światłom z szybko składu. Czuje, że musi zmienić miejsce. Przesiada się. Wykonuje jakieś ruchy ręką. Ludzie rozsuwają się i udają, że nie widzą, patrzą kątem oka – jest inny, pewnie nienormalny. Grając w filmie, zakładamy milczącą zgodę na konwencję. Widzowie i aktorzy na planie wiedzą, że to gra. A wchodząc do metra, nikt nie miał o tym pojęcia. Zaczynałem żyć we własnym świecie, nie mogłem wytłumaczyć: hej, ja tylko udaję, tak naprawdę ze mną jest wszystko w porządku. Tak samo jak ludzie chorzy na autyzm, z nimi też jest

prawie wszystko w porządku, tylko inaczej odczuwają świat i to ich wyklucza ze społeczeństwa – opowiada Topa.

Na drugim filmie robi zakupy. Przy kasie bardzo stara się zachowywać jak wszyscy, uspokaja się rytmicznym stukaniem palcami w ladę. Znow zasłania uszy, a ludzie znow się odsuwają. Piekło rozpętuje się w Internecie. Topa pijany, skandal, „przypigulił”, „przykwasił” – brzmia wyroki. – Istotą akcji było to, co działo się w sieci. Ludzie na podstawie kilkunastosekundowych filmików wydawali niesprawiedliwe wyroki na Bartka, tak jak wydają na ludzi z autyzmem – opowiada Grochowska.

Edyta Papajewska, mama chorego na autyzm 16-letniego Sebastiana: – Dziecko chore na autyzm nie odstaje wyglądem od swoich rówieśników, tylko zachowaniem. Nieraz przeżyłam z moim synem taki natychmiastowy wyrok. Ktoś rzuci tylko okiem na Sebastiana i mówi: jaki rozwydrzony i źle wychowany, ja bym pani pokazał, jak go wychować. Dla rodzica to zawsze trudny moment – opowiada.

O całej akcji wiedziało tylko kilkanaście osób. Topa: – Kilku znajomych po występie w telewizji i artykułach w brukowcach zadzwoniło do mnie i pytało, co się dzieje, czy nie potrzebuję pomocy. Rola wymagała, bym nie wy-paplał od razu, że to mistyfikacja. Kiedy już się wydało, przyjaciel przysłał mi SMS: Oszczep się działanie, kop w dupę za emocje.

Kiedy po czterech dniach SYNAPSIS przyznaje się do performance’u, film z opowiadającym o akcji Bartkiem w ciągu kilku godzin ogląda 150 tys. osób. Jeden internauta pisze na Facebooku do Topy: „Przepraszam, że pana niesłusznie oskarżyłem”. – Wiedziałem, że to będzie eksperyment na żywym ciele. Choć nie ukrywam, że trochę mnie to przerosło – mówi aktor.

Kongres Finansowy Rzeczpospolitej

1 stycznia – 1 lutego 2012 r., Hotel Marriott w Warszawie



1. DZIEŃ KONGRESU: 2. DZIEŃ KONGRESU:

Podatki, księgowość, finanse

DEBATA:

Czy polskie firmy i gospodarka poradzą sobie z recesją w Europie?

Tematy podczas dyskusji to m.in.:

- I. Recesja – czy faktycznie grozi polskiej gospodarce?
- II. Rynek finansowy. Czy wyschnie źródło finansowania firm?
- III. Kondycja złotego. Złote czasy eksporterów?
- IV. Inwestycje & rynek pracy. Czy firmy decydują się nie zwalniać pracowników?

PRELEKCJE:

1. Podatek VAT w 2012 roku – wybrane problemy, przegląd orzecznictwa
2. Podatek dochodowy: wprowadzone i planowane zmiany w 2012 roku
3. Bilansowe aspekty sprawozdania finansowego
4. Factoring jako narzędzie minimalizacji ryzyka kredytu kupieckiego
5. Alternatywne metody redukcji kosztów zatrudnienia: szansa czy sukces czy ryzyko porażki?

Konferencja bezpłatna dla kadry finansowej przedsiębiorstw
Liczba miejsc ograniczona!

Zapisz się i szczegóły: www.rp.pl/konferencje
kontakt: (22) 46 30 658

Partner Główny: **Microsoft**

Partnerzy Merytoryczni: **Bank BPH** Po prostu fair

Patronat: **KRAJOWA IZBA GOSPODARCZA**

Organizator: **RZECZPOSPOLITA**

Patroni Medialni: **EMIS**, **MAZARS**, **Rödl & Partner**, **Związek Polskiego Leasingu**

RZECZPOSPOLITA SZKOLENIA I KONFERENCJE

SZKOLENIA I KONFERENCJE
styczeń – luty 2012

- Ochrona danych osobowych w praktyce z uwzględnieniem nowelizacji ustawy
26.01 – Gdańsk
- Wyodrębnienie i aport zorganizowanej części przedsiębiorstwa
27.01 – Warszawa
- Podatek u źródła – umowy o unikaniu podwójnego opodatkowania
27.01 – Warszawa
- Faktura VAT i jej znaczenie w praktyce podatkowej
31.01 – Warszawa
- Rewolucja na rynku nieruchomości – obowiązki wynikające z ustawy o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego
31.01 – Warszawa
- Arbitraż – polubowne rozstrzygnięcie sporów
8.02 – Warszawa
- E-COMMERCE
Jak praktycznie podejść do przepisów prawa, aby uniknąć pułapek w e-biznesie
9.02 – Warszawa
- Spółka komandytowa i komandytowo-akcyjna; praktyczne korzyści podatkowe i prawne oraz optymalizacja podatkowa ich wspólników
9.02 – Warszawa
- Analiza finansowa przedsiębiorstw – analiza wskaźnikowa, tworzenie i ocena planów finansowych, kompleksowe badanie opłacalności – warsztaty komputerowe
13-14.02 – Warszawa
- Optymalizacja i planowanie podatkowe w grupach kapitałowych
14.02 – Warszawa
- Rynek farmaceutyczny w obliczu zmian legislacyjnych – wpływ na kluczowe obszary działalności firm farmaceutycznych
21.02 – Warszawa

Kontakt: tel. (22) 46 30 069, 46 30 609

Debaty Havlowskie Krytyki Politycznej w „Przekroju”

Martwi mnie zgoda na obniżanie oczekiwań wobec polityki. Jeśli nie chcemy, żeby społeczeństwo zwyrodniało, musimy bronić wartości w każdej sytuacji – mówi **TADEUSZ MAZOWIECKI**. Rozmowa z byłym premierem zainicjowała Debaty Havlowskie w Centrum Kultury Nowy Wspaniały Świat

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI

Vaclav Havel to postać niezwykła. Wiemy o tym dobrze w Polsce, bo od końca lat 70. czeskosłowacki dysydent zaprzyjaźnia się i znajduje oparcie w bohaterach polskiej drogi do wolności: Jacku Kuroni, Adamie Michniku, Henryku Wujcu, Zbigniewie Romaszewskim, Janie Lityńskim i innych. Jako prezydent najpierw Czechosłowacji, a później Czech wielokrotnie odwiedza Polskę i polskich przyjaciół. Napisane przez niego sztuki wystawiają najlepsi polscy reżyserzy – od Feliksa Falka po Izabellę Cywińską.

Chyba mniej niż jego odwagę i osiągnięcia w walce z dyktaturą znamy jego poglądy na współczesność. A są to poglądy niebanalne, przenikliwe i konsekwentne, mimo zmieniających się czasów. Można się z nimi zapoznać, czytając eseje zebrane przez Andrzeja S. Jagodzińskiego i wydane przez Agorę pt. „Siła bezsilnych”.

Czeski dysydent gotów jest zapłacić więzieniem za swój sprzeciw wobec łamania praw człowieka przez komunistyczny reżim, ale komuniści nie są w stanie zniewolić jego umysłu w żadnym stopniu. Nie tylko nigdy nie uwierzył w sowiecki komunizm, ale nie stanie się nigdy świadomym lub nieświadomym zakładnikiem walki z państwem policyjnym, który bezkrytycznie zamarzy o demokracji liberalnej, niewidzialnej ręce rynku i konsumpcyjnym dobrobycie. Ani nie zamieni się w chodzącą zółć, ani nie przyklei do starych map, nie traktując poważnie innych wyzwań.

Przeciwnie, wychowany w szkole fenomenologicznej będzie wychodził zawsze od sytuacji konkretnego człowieka, co pozwoli mu trzeźwo spoglądać nie tylko na rzeczywistość realnego socjalizmu, ale także zachodnich demokracji.

Bez szans, by odnaleźć siebie

Już w „Sile bezsilnych”, czyli w październiku 1978 r., napisze: „Istotnie: nie wydaje się, by tradycyjna demokracja liberalna, parlamentarna wskazywała sposób pryncypialnego przeciwstawienia się »samoruchowi« cywilizacji technicznej oraz społeczeństwu industrialnemu i konsumpcyjnemu; również ona ulega im i jest wobec nich bezradna. Jedynie sposób, w jaki manipuluje się człowiekiem, jest nieskończenie subtelniejszy i bardziej wyrafinowany od brutalnych metod systemu posttotalitarnego. Ale cały ten statyczny kompleks skostniałych, w sferze konsumpcji mętnych, a w polityce kierujących się pragmatyzmem masowych partii, opanowanych przez profesjonalny aparat i uwalniających obywateli od jakiegokolwiek konkretnej i osobistej odpowiedzialności; wszystkie te skomplikowane struktury manipulujących z ukrycia i ekspansywnych ognisk akumulacji kapitału; produkcji, reklamy, komercji, konsumpcyjnej kultury oraz zalew informacji – wszystko to, tyle razy już analizowane i opisywane, naprawdę trudno chyba uznać za drogę, na której człowiek będzie miał szansę odnaleźć siebie”.

A że nie są to poglądy naiwnego idealisty, który gdyby tylko zasiadł na jakimś odpowiedzianym stanowisku politycznym, zaraz „pogodziłby się z realiami”, wystarczy zajrzeć do biografii „Tylko krótko, proszę”, wydanej przez Znak w 2007 r. Sam jej tytuł dobrany został przez autora jako znak sprzeciwu wobec głupoty skomercjalizowanych mediów, które wszystko obracają w bezmyślny format, i wobec dostosowujących się do tego dziennikarzy. Wiemy, wiemy, taki jest standard i kto się nie podporządkuje, zaraz nakryją go czapkami. Ale może gdyby więcej nas się nie podporządkowało, to byłoby łatwiej wyjść poza standard? Wszyscy jesteśmy kierownikami sklepu warzywnego z eseju Havla, którzy mogą zaakceptować otaczającą nas niedoskonałą rzeczywistość albo rzucić jej wyzwanie. I jesteśmy nimi zawsze, dopóki niedoskonała rzeczywistość społeczna opiera się na powszechnej obojętności.

Havel został obdarowany przez los do dobrymi warunkami wychowania w rodzinie, które potraktował jako dług, który należy spłacić innym, o czym pięknie opowiada w drugoobiegowym wywiadzie rzece zatytułowanym „Zaoczne przesłuchanie”. Tak jak Jacek Kuroń, obdarowany przez rodzinę nonkonformistycznym światopoglądem, który postanowił przekazać tym, których nie wychowywano w tradycji oporu. To właśnie ów światopogląd, razem z Janem Józefem Lipskim, Joanną Szczepną, Janem Lityńskim czy Henrykiem Wujcem, woził robotnikom z Radomia, co było nie mniej ważne



Premier podczas spotkania z prezydentem. 24 stycznia 1990 r., Warszawa

nie oferowana przez KOR pomoc prawna i finansowa. Idee dowieszone w końcu do Główna roziskrzyły niemal całe społeczeństwo, co umożliwiło historyczne przesilenie. Wnieśli z tak wielkim trudem na górę kamień, staczając się w dół, najpierw przetoczyli się po Syzyfie. Dysydentów odrzucono jako jednych z pierwszych, znów można było ich lekceważyć, tym bardziej że stanowili wyrzut sumienia.

Po tym doświadczył także Havel, mimo że osiągnął największy polityczny sukces ze wszystkich, czterokrotnie będąc wybieranym na prezydenta. Także dlatego, że być może jemu najmniej ze wszystkich przezwyciężone wyzwania nie zasłoniły innych. Tych jeszcze bardziej globalnych niż powierzchwna Związku Radzieckiego, choć głębiej ukrytych pod pozorem „normalności”.

Havel pisze: „Jestem wrogiem każdego opętania czy nawiedzenia, bo uważam to za jedno z najniebezpieczniejszych zjawisk społecznych. Jestem więc także przeciwnikiem rynkowego fundamentalizmu i dogmatyzmu, za co »podkwaszeni« (jak nazywam szczególnie typ dziennikarzy, ironicznie podśmiewających się ze wszystkiego, co

nie jest dostatecznie kapitalistycznej) przykleili mi łatkę lewicowca. Jednak przecież prawo zysku samo w sobie naprawdę niczego sensownego nie gwarantuje. Mówię o tym dlatego, że dogmatyzm rynkowy jest elementem ideologii standardowości”. Z tych także powodów od początku Havel poważnie traktuje wszystkie nowe ruchy społeczne, takie jak feminizm czy alterglobalizm (sam się zalicza do nich), a o ekologicznym z nadzieją wspomina już w „Sile bezsilnych”.

Blisko Kuronia

Czeski bohater nie tylko marzy o „rewolucji egzystencjalnej”, ale także rozwija własną filozofię polityczną, bardzo zbliżoną do tej, jaką znamy z pism i wystąpień Jacka Kuronia, w której celem jest podmiotowość społeczna oparta na podmiotowości jednostek, jakie w ramach małych grup połączonych etosem społecznego zaangażowania potrafią łączyć się w ruch społeczny.

Od tej strony najsłabiej znamy Havla w Polsce, nie tylko dlatego, że był Czechem. Innego wybitnego intelektualistę XX w., Czesława Miłosza, także podziwiamy jako artystę

(którym był przede wszystkim), ale rzadziej dyskutujemy o jego fascynujących poszukiwaniach odpowiedzi na „przekłete pytania” o alienację współczesnego człowieka, o sens życia sprowadzonego przez konsumpcyjny kapitalizm do fizjologii i szansach ustanowienia go na Ziemi Ulro. Tej Ziemi Ulro.

Zakończony niedawno Rok Miłosza był okazją do przemyślenia tych problemów. Po skonsultowaniu się z przyjaciółmi Vacłava Havla i wybitnymi polskimi artystami i intelektualistami, m.in. z Agnieszką Holland, Tadeuszem Mazowieckim, Andrzejem S. Jagodzińskim (tłumaczem i wydawcą Havla), postanowiliśmy w „Krytyce Politycznej” zorganizować Rok Havla, zapraszając na serię debat, działań artystycznych, do lektury pism Havla i o Havlu, a przede wszystkim inspirowanych jego zaangażowaniem tekstów i rozmów o współczesności.

Debaty Havlowskie w Centrum Kultury Nowy Wspaniały Świat rozpoczęliśmy od rozmowy z Tadeuszem Mazowieckim – polskim bohaterem walki o wolność, byłym rektorem i opozycjonistą, pierwszym niekomunistycznym premierem Polski. Jej zapis na kolejnych stronach. →

Havel zauważył wcześniej

W Polsce ludzie, którzy swoim życiem dowiedli przed 1989 r., że chcą „żyć w prawdzie”, w latach 90. zaczęli systematycznie zniknąć z polityki. Tymczasem Vaclav Havel został wybrany czterokrotnie na prezydenta Czech i do 2003 r. przez 13 lat był przywódcą państwa czeskiego. Zarazem zachował nieporównanie większy dystans do demokracji liberalnej w kształcie, który z Zachodu trafiał do transformowanych demokracji ludowych. Panie premierze, skąd te różnice?

– Zgodzę się z panem, że w esejach zebranych w tomie „Siła bezsilnych” są też opinie krytyczne wobec demokracji liberalnej, parlamentarizmu i wolnego rynku. A Havel zostaje prezydentem państwa wprowadzającego tę demokrację parlamentarną. Tu jest pewna zbieżność pomiędzy tym, co myślał Havel, a tym, co myślimy myśleli. To dystans do partii politycznych jako instytucji niewyrażających w pełni postulatów demokratyzacji społeczeństwa. Po 1989 r. też dość długo uważaliśmy, że „Solidarność” jako ruch, włącznie z Komitetem Obywatelskim, powinna trwać. Tymczasem przyszło powstanie partii – dosyć szybko, dosyć nagle – i musieliśmy to zaakceptować. Havel też zaakceptował. Jedną zmianę u nas nawet chyba przyspieszył (śmiesz). Pamiętam, że gdy został wybrany na prezydenta, pomyślałem: „No to teraz Wałęsa już nie wytrzyma...” (śmiesz)

Pan był wtedy podczas ważnej wizyty u Gorbaczowa w Moskwie.

– To było wcześniej. Dzień przed największymi demonstracjami w Pradze, które zapoczątkowały aksamitną rewolucję, akurat nasza delegacja jadła kolację w moskiewskiej restauracji Praha. Następnego dnia wszyscy dziennikarze zagraniczni pytali mnie na konferencji, w której restauracji jemy obiad dziś. (śmiesz) **Havel z perspektywy kilkunastu lat o początkach czeskiej demokracji wypowiada się tak: „Wtedy bowiem panowała naprawdę szczególne atmosfera. »Ekologia«, »społeczeństwo obywatelskie« czy »sektor non profit« to były słowa oznaczające niemal zdradę państwa i wielu ludzi wręcz bało się je wymawiać. Nie wiem, jak to się mogło stać, ale jakieś podświadome poczucie niepewności czy zagrożenia związane z końcem dotychczasowego państwa**

powodowały z jednej strony wielki zachwyt dla prostych i dość przestarzałych schematów gospodarki rynkowej, a z drugiej ogromny strach przed podkwaszonymi”.

– Zgadza się, że również ustrój demokratyczno-liberalny ma swoje poważne słabości. Gdyby wskazać na drugą osobę, która mówiła krytycznie o kapitalizmie zachodnim, w czasie, kiedy u nas wszyscy byli bezkrytyczni, jest nią Jan Paweł II. Widać tu pewną analogię między tym, co pisze Havel, a tym, co Jan Paweł II nawet dość drastycznie mówił – że totalizm może wyrastać również z nieodpowiedzialnego korzystania z wolności. To ciekawa dla mnie zbieżność. Havel zachował krytyczną postawę wobec demokracji parlamentarnej i kapitalizmu, ale jako prezydent uczestniczył w transformacji w tym kierunku. To jest właśnie ten stary spór o to, czy mogła być inna droga. Myślimy uważali wtedy, że nie wolno eksperymentować, że na społeczeństwie polskim już za dużo eksperymentowano i że trzeba przyjąć sprawdzone wzory. Miałem nadzieję, że w miarę rozwoju będziemy przewyżczać pewne negatywne zjawiska ustroju wolnorynkowej gospodarki. Sądzę, że podobną nadzieję żywił Havel, nie decydując się na jakąś eksperymentalną trzecią drogę.

Chyba już tyle czasu minęło, że spieranie się o to, czy transformacja mogła pójść inną drogą, nie obiecuje już żadnych ani praktycznych, ani teoretycznych korzyści. Natomiast pociągająca jest ta świeżość myślenia Havla, otwartość i potrzeba utopii jako ideowej asymptoty. Havel przez okres prezydentury na spotkaniach z różnymi przedstawicielami międzynarodowych korporacji wygłaszał alterglobalistyczne przemówienia. Zastanawiał się nad własnymi koncepcjami reformy instytucji międzynarodowych. Miał bardzo odważne pomysły dotyczące federacji europejskiej. Krytykował „zmaskulinizowany świat”. Nie obawiał się oprócz restrykcyjnej polityce narkotykowej. I to nie są jakieś marginalne zapiski, tylko główna treść większości jego pism.

– Wziąłem raz udział wraz z Havlem w wielkiej imprezie międzynarodowej w Nowym Jorku. Był to szczyt poświęcony sprawie dzieci. Wszyscy musieliśmy przemawiać i Havel napisał bardzo oryginalny tekst, zawarty zresztą w ostatnio wydanym w Polsce zbiorze esejów. Mówił o tym, jak przywódcy komunistyczni nadużywają dzieci, głosząc je po główkach. Zakończył tym, że on już nie chce, żeby jakiś przywódca starał się przypodobać dzieciom. Nie należy zapominać, że Havel był pisarzem, dramaturgiem i że ta świeżość spojrzenia to styl kogoś, kto



Pamiętam, że gdy Vaclav Havel został wybrany na prezydenta, pomyślałem: „No to teraz Wałęsa już nie wytrzyma...”

cały czas pisze swoje przemówienia lub przy najmniej bardzo mocno je redaguje i dba o to, żeby indywidualność pisarska przejawiała się także w nich. Cały światopogląd, który sobie zbudował, a który oddaje ta niezwykle krytyczna analiza rzeczywistości i jej zagrożeń w jego pismach, to nie był światopogląd budowany na zasadzie, że „oto jest rzeczywistość komunistyczna i jest druga strona”, tylko raczej na zasadzie poszukiwania prawdy, która jedyną nie może być punktem odniesienia. On po prostu trzymał się prawdy. Natomiast jeśli chodzi o to, że Havel wcześniej zauważał pewne nowe ruchy emancypacyjne, to zgoda, zauważał je wcześniej.

Dziś polityka nie wygląda zachęcająco.

O wartościach mówi się w niej jak o rytualnego obowiązku, właściwie nikt nie wstydzi się transferów, niejeden polityk myli kompromis ideowy z kompromisem z samym sobą.

Mam czasem wrażenie, że jeśli nie chcę się temu podporządkować, jeśli chcę zachować uczciwość wobec siebie i tego nie ukrywam, wychodzę na frajera oderwanego od rzeczywistości. Ktoś mówi do mnie: „taka już jest polityka” albo: „taki jest świat”. Zmierzam

tu z powrotem do Havla. Bohater jego eseju, który jest kierownikiem warzywniaka, może wywiesić tabliczkę „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” bezrefleksyjnie, bezmyślnie, rytualnie, oportunistycznie, a może tego nie zrobić. Czy to jest aktualny wybór?

– Powiedział pan, że czasem ma pan wrażenie, że wygłaszając swoje poglądy, uchodzi za frajera. Havel w swoim społeczeństwie też uchodził za frajera, nawet chyba gdy był prezydentem, to uchodził za frajera, za postać nie z tej ziemi, bujającą w obłokach. A jednak przewyżczał tę pustkę i zapewne kultura życia publicznego Czechów byłaby zupełnie inna, gdyby nie było zjawiska Havla. Natomiast na krótką metę trzeba być przygotowanym na porażki. Ale powie pan mi, że to, co mnie martwi, to nie jest tylko obecność tego typu polityki, o której pan mówił, ale pewna zgoda na ciągłe obniżanie oczekiwań wobec polityki. Niestety u nas w dużym stopniu to się dokonuje. Etos, moralny szkielet naszego działania, dochodzi do głosu w momentach przesileni historycznych. Ważne jest jednak, żeby trwał i był obecny w normalności, o to powinniśmy

się starać. Na dłuższą metę, zresztą na krótką też, jeśli nie chcemy, żeby społeczeństwo zwyrodniało, musimy bronić wartości w każdej sytuacji. Myślę, że w obecnych czasach nikt nie musi wywieszać w sklepie warzywnym hasła „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, natomiast bardzo wielu może głosić, że polityka musi być taka, jaka jest, i inna być nie może, to jest bardzo niedobre. **Ale nikt nie musi oglądać reklam, nikt nie musi też chodzić do supermarketu, nikt nie musi oglądać głupich programów telewizyjnych. Niby nikt nic nie musi, a wszyscy to robimy.**

– Płaskość tych programów i to, że wszyscy są gotowi epatować takimi sprawami, które są aktualne przez trzy dni, natomiast nie mają chęci mówienia o sprawach bardziej generalnych, to jest problem. Nie sądzą, żeby tu można było wytypować postać podobną do Havlowskiego kierownika sklepu warzywnego, który był symbolem ludzi, którzy oddają daninę, bo chcą, żeby władza ich nie postrzegła źle, żeby nie uznano ich za wrogów. Sytuacja wolności nie zmusza do oddawania tej daniny. Natomiast sądzą, że są inne bolączki w tym systemie, w którym żyjemy, i że te bolączki polegają

na tym, że tak łatwo godzimy się z obniżaniem standardów. Myślę, że media w ogromnej mierze są za to współodpowiedzialne. Nie wiem, czy tym współczesnym kierownikiem sklepu warzywnego nie jest dziennikarz.

Ale przecież jeden z problemów, o których pisał Havel, to właśnie przekonanie, że po obaleniu komunizmu nastąpiła po prostu wolność i teraz już istnieją co najwyżej bolączki. Jeśli dobrze rozumiem, prawdziwą polityką jest przekonywanie ludzi do jakiejś wizji, a nie budowanie – przy pomocy specjalistów od wizerunku – wizji z istniejących przekonań. Tymczasem cały demokratyczny świat kręci się właściwie w odwrotnym kierunku. Dlatego Havel pisał o potrzebie „rewolucji egzystencjalnej”, która oczywiście nie jest możliwa dziś, ale to nie znaczy, że należy się po prostu dostosować. Niby wiemy dziś coraz więcej, mamy coraz więcej informacji, ale wiedzy tej nie wykorzystujemy do tego, żeby się jakoś zorganizować i zmienić ten świat, tylko raczej do tego, żeby każdy z nas indywidualnie dostosował się do tego niedoskonałego świata i konkurował z innymi.

– Havel przecież żył w Czechach, najpierw jako prezydent i już nie będąc nim, też obserwował negatywne zjawiska tam występujące, zapewne bardzo podobne i równie liczne jak te u nas. Mnie nasuwa się może jeszcze taka uwaga, że to jest problem wartości, w które wierzył. W które i my wierzyliśmy przed 1989 r. i po nim, o których myśleliśmy, że będą nadal oddziaływać. Spotykałem się bardzo często z pytaniem, co zostało z „Solidarności”. Zapewne Havel spotykał się z pytaniem, co zostało z dażeń Karty 77. Otóż, kiedy szliśmy w kierunku Zachodu, w dyskusjach w Polsce i za granicą, zwłaszcza za granicą, mówiłem o różnicy między przyłączeniem i połączeniem. Połączenie to jest połączenie dwóch doświadczeń, dwóch rodzajów wartości, a moim zdaniem nastąpiło przyłączenie. Nie potrafiliśmy przekazać naszego doświadczenia, utrzymać go jakoś we własnym społeczeństwie i przekazać go całej kulturze europejskiej. To jest niewątpliwie jakaś porażka. No, ale życie jest silniejsze i może to marzenie o połączeniu było marzeniem naiwnym, podczas gdy reguły życia były twarde i te wzory konsumpcyjno-masowej kultury musiały zdominować nasze życie, i w tym trzeba się teraz odnaleźć. Jednak nie jest tak, że nic nie zostawało po tych wszystkich wysiłkach. Coś zostawało i coś zostaje. Ja po prostu uważam, że nie ma innej rady i trzeba ciągnąć swój wóz pod górę niezależnie od tego, jaka to jest góra. ●

Nowa mitologia arabska

Arabska wiosna wybuchła rok temu. Ale nie zakończyła się wraz z obaleniem dyktatorów w Tunezji, Egipcie i Libii. Trwa w tych krajach i wszędzie tam, gdzie władze trzymają się swoich stołków: w Syrii, Jemenie, Bahrajnie...

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ

Gdy w Tunezji płonął Mohammed Buzazi, eksperci od świata arabskiego zachowywali się jak Ludwik XVI, który w dniu 14 lipca 1789 r., gdy lud Paryża szturmował Bastylie, napisał w swym dzienniku tylko jedno słowo „nic”. Od czasu swego „niespodziewanego” wybuchu arabska wiosna ludów podważyła najważniejsze stereotypy, którymi żywi się nasza wiedza o Bliskim Wschodzie i Afryce Północnej i – co gorsza – nasza polityka w regionie. Nie oddajemy jednak pola i w miejsce starych wymyślamy nowe, równie fałszywe.

Na początku padły dwa mity: o stabilności panowania władców arabskich wspieranych przez USA i UE oraz o braku tradycji i kultury demokratycznej w krajach regionu. Kiedy pogardzana przez komentatorów ulica arabska dowiodła, że ma więcej wiary w demokrację niż Angela Merkel i Nicolas Sarkozy, pojawiła się teza, że rewolucja spadła na arabską pustynię społeczną wprost z Facebooka. Wynikała z przekonania, że demokracja jest do tego stopnia obca ludziom Wschodu, iż jakkolwiek jej postać mogła pojawić się wśród nich jedynie dzięki tak rasowemu wytworowi Zachodu, jak portal społecznościowy. Inaczej mówiąc, młodzieniec z telefonem komórkowym czy tabletem w ręku wydaje się dostatecznie „zachodni”, aby zaakceptować go w roli forpoczty nowoczesności w despotycznym i zacofanym Oriencie.

Rewolucja ośmieszyła podobne uprzedzenia i kryjące się pod nimi roszczenia do zachodniego monopolu na demokrację. Dostarczyła dość dowodów na to, że kraje arabskie nie potrzebują w tej dziedzinie żadnego importu, a co więcej – stały się właśnie globalnymi eksporterami. Gdy trwała już okupacja placu Tahrir, zaczęły się wielotygodniowe, potężne, choć całkowicie niemal pominięte przez media protesty w amerykańskim Madison (stolicy stanu Wisconsin). Ich uczestnicy nie tylko wypisali sobie na transparentach „Fights Like Egyptian”, ale dostali bezpośrednie wsparcie z Kairu. Rewolucjoniści z Tahrir kupili dla swych młodszych kolegów i koleżanek z USA pizzę... Po Wisconsin inspirowanym się tłumami w Kairze okupację placów zdobyły wielką popularność od Nowego Jorku po Madryt, Rzym i Ateny. Dlatego, jeżeli szukamy korzeni ruchu Occupy, powinniśmy się udać nie na Wall Street, ale właśnie na plac egipskiej stolicy.

Stereotyp bliskowschodniej wylęgarni przemocy z zamachowcami samobójcami na czele rozsypuje się w obliczu wielomiesięcznych demonstracji w Syrii i Jemenie, które pozostały w ogromnej większości pokojowe, mimo że reżimy odpowiadały na nie krwawymi represjami na przerażającą skalę. Siła wytrwałości i wielkość moralna pokojowych rewolucjonistów w tych krajach dorównują ich dojrzałości politycznej. Natomiast warto zauważyć, że jedynym państwem, które pograżało się w wojnie, jest Libia, i że nie stało się to bez



Fohlen Corentin/SIPA PRESS/EAST NEWS

walnej pomocy lotnictwa bombowego i sił specjalnych NATO. Czyżby samospełniająca się przepowiednia na temat skłonności Arabów do bitki? Który to już raz po Iraku, Gazie, Libanie, Jemenie Zachód lub jego najbliżsi sojusznicy przynoszą na Bliski Wschód to, co samą najchętniej chcieliby tam widzieć?

Nic zatem dziwnego, że mniej efektywne procesy społeczne schodzą na drugi lub trzeci plan. Tymczasem – jak zauważył Chalid Al-Chamisi, autor kultowej także w Polsce książki „Taxi. Opowieści z kursów po Kairze” – w dniach upadku dyktatorów tunezyjskiego i egipskiego rewolucja dopiero się zaczynała. Jedną z najważniejszych sił sprawczych kolejnego jej etapu okazały się ruchy pracownicze. Robotnicy odegrali wielką rolę w przygotowaniu arabskiej wiosny, a obecnie toczą walkę o kierunek i kształt przemian.

Co się stało 6 kwietnia?

Stereotyp młodzieży, która zobaczyła wolność w Internecie, ignoruje nazwę najważniejszej z egipskich grup rewolucyjnych – Ruchu 6 Kwietnia, przyjętą na pamięć strajków i powstania robotniczego w wielkim kombinacie włókienniczym Mahalla el-Kubra w 2008 r. To właśnie tam zaczął się

upadek reżimu prezydenta Hosniego Mubarak. Dynamika protestów społecznych w Egipcie, a także w Tunezji, Algierii czy Iraku, narasta od lat, a najważniejszym jej kołem zamachowym pozostają właśnie strajki, o wiele groźniejsze dla reżimów niż efemeryczne demonstracje klasy średniej w rodzaju egipskiego ruchu Kefajal (dość!) z 2006 r.

Nic w tym dziwnego, bo cały region – od Algieru po Basrę – ma własną bogatą tradycję robotniczych buntów i kultury oporu społecznego, które zawsze łączyły się z walką o demokrację i przeciw obcej ingerencji. Od czasu palestyńskiego strajku generalnego, który przerodził się w powstanie narodowe w 1936 r., przez iracką rewolucję w 1958 r., zwycięstwo socjalnej ery Nasera w Egipcie, aż po zwycięski opór irackich robotników naftowych przeciw prywatyzacji tego sektora po roku 2003 i walki górników tunezyjskich w 2008 r. można prześledzić kolejne etapy tej fascynującej i szerzej nieznannej historii. Warto to zrobić już choćby dlatego, żeby zrozumieć falę strajkową zalewającą Egipt od lata ubiegłego roku.

We wrześniu i październiku ponad 750 tys. strajkujących wzmocniło nowe demonstracje i okupację placu Tahrir przed pierwszymi wyborami parlamentarnymi. Jak zauważyła

brytyjska znawczyni bliskowschodnich ruchów społecznych Anne Alexander, strajki robotników egipskich mają globalny wymiar. Wybuchają w gospodarce poddanej neoliberalnej restrukturyzacji w stopniu większym niż w USA czy Wielkiej Brytanii. Stosunki pracy w Egipcie są wyjątkowo „nowoczesne”: pokazują przyszłość Europy. Wszecobecne umowy śmieciowe i brak płacy minimalnej to przecież ideał, do którego dążą pracodawcy z polskiego Business Center Club! W Egipcie to normalka od ponad 20 lat. I właśnie tam, mimo spustoszeń wyrządzonych przez sukcesy ekonomiczne ery Mubarak (chwalone głośno przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy), walka ma charakter ofensywny. Egipcjacy pracownicy nie walczą o obronę resztek państwa socjalnego, jak to się dzieje dziś w Europie. Domagając się płacy minimalnej i zatrudnienia na umowę o pracę, atakują serce projektu neoliberalnego. Wygląda na to, że anemiczne związki zawodowe z Europy i USA, nie mówiąc już o cierpiących na programowy deficyt Oburzonych, powinny wysłać swych przedstawicieli na jakieś szkolenie do Mahalli, Szibin el-Kom lub Suez.

Na koniec religia – kwestia, która zwykle stawiana jest na początku analiz sytuacji

w świecie arabskim. Ale właściwie dlaczego? Gdy zajmujemy się Oburzonymi w Irlandii lub masowymi protestami w Grecji, nie przychodzi nam przecież do głowy poszukiwać w ulicznych zamieszkach jakiegoś katolickiego czy prawosławnego spisku. Dlaczego zatem wszędzie wężymy spisek muzulmański?

Wojna stereotypów

Dążenie do demokracji w krajach arabskich zawsze wiązało się z walką przeciw obcemu panowaniu. Cokolwiek o tym myślimy, emancypacyjne zdobycze zachodniego przemysłu odzieżowego kojarzą się wielu Egipcjanom i Egipcjankom ze stylem obalanych właśnie dyktatur. I nie ma niczego paradoksalnego w tym, że im więcej wolności politycznej, tym więcej hidżabów na ulicach. Oczywiście rewolucja obyczajowa na Bliskim Wschodzie jest równie powierzchowna i obojętna na kwestie polityczno-ekonomiczne jak ta w Europie Zachodniej. Dlatego w obliczu realnych wyzwań społecznych umiarkowani islamisci tunezyjskiej Nahdy czy egipskich Braci Muzułmanów spoglądają z podziwem na Turcję, a nie na Arabię Saudyjską. Czynią to także dlatego, że – jak pisał francuski orientalista Oliver Roy – większość ich postulatów obyczajowych została już zrealizowana przez tzw. świeckie dyktatury Mubarak, Ben Alego i im podobnych. Trudno je będzie przebić nawet islamistom.

Gdy rok temu waliła się władza tych, których Zachód nazwał filarami stabilności w strategicznym regionie, Serge Halimi, szef francuskiego „Le Monde Diplomatique”, nie odmówił sobie stwierdzenia, że „stało się niemożliwe”. Powinien dodać, że „niemożliwe” dla ekspertów i polityków Europy oraz Ameryki, którzy przez dekady – z wyrachowania lub przekonania – podtrzymywali tyranie w Kairze i Tunisie, tak jak dziś podtrzymują je w Rijadzie i Sanie. Jak wielka była ignorancja Zachodu, niech świadczy fakt, że partia prezydenta Mubarak przez lata funkcjonowała w Międzynarodówce Socjalistycznej, obok niemieckich socjaldemokratów, brytyjskich laburzystów i polskiego SLD – była tam jeszcze, gdy milionowe manifestacje Egipcjan obalały dyktatora.

Rewolucja odmienia kraje arabskie i nie już raczej nie zatrzyma tego procesu. Wśród wielu innych ma jednak także zadanie: musi się zmierzyć ze stereotypami jej zachodnich obserwatorów.

MONDE
diplomatique

Przemysław Wielgosz
jest redaktorem naczelnym
„Le Monde diplomatique”
– edycja polska



Od ponad roku Amerykanie nie wypuścili żadnego więźnia z Guantánamo. Algierczyk Saïd Farhi, ostatni uwolniony, wyszedł 6 stycznia 2011 r.

Guantánamo na wieki wieków, amen

Dekadę temu Ameryka otworzyła więzienie, które jest zaprzeczeniem wszystkich amerykańskich wartości. Kandydat Obama obiecywał je zamknąć. Jako prezydent się rozmyślił

ŁUKASZ WÓJCIK

Wyruszył z Guantánamo tak samo jak tam przybył. W więziennym kombinezonie, z rękoma związanymi do tyłu. Nic nie słyszał w wielkich słuchawkach, nic nie widział w zaciemnionych goglach. Na pokładzie samolotu transportowego C-17 towarzystwa dotrzymywało mu 10 żandarmów. Jak się później okazało, jego podróż z Karaibów do amerykańskiej bazy wojskowej w Niemczech kosztowała Waszyngton okragły milion dolarów. Po wylądowaniu żołnierze zdjęli Muratowi Kurnazowi kajdanki i wyprowadzili go na płytę lotniska. Był rok 2009. Tam już czekała niemiecka delegacja. Gdy jeden z Amerykanów zaproponował, że założy więźniowi nowe kajdanki, jej szef zaprotestował: „On nie popełnił żadnego przestępstwa. Tutaj w Niemczech jest wolnym człowiekiem”.

Role się odwróciły. Zaraz po zakończeniu II wojny światowej to Stany Zjednoczone nalegały na sprawiedliwy proces dla zbrodniarzy wojennych. Późniejsze rozliczenie nazistów w Norymberdze według wielu historyków pozwoliło na powojenną odbudowę niemieckiej demokracji. Na płycie lotniska to Niemcy musieli udzielić Amerykanom podstawowej lekcji z rządu prawa – habeas corpus, nikt nie może być uwięziony bez wyroku sądu.

Niemiecki obywatel Murat Kurnaz był przez Amerykanów więziony i torturowany w Guantánamo. Nigdy nie usłyszał żadnego zarzutu. Nigdy nie dopuszczono go przed oblicze sądu. Wystarczyło, że prezydent USA nazwał

go „wrogim bojownikiem”. Tak jak wielu jego współwięźniów stał się ofiarą politycznego klinczu wokół Guantánamo. Zamarzył na tej tropikalnej wyspie na całe pięć lat.

W styczniu minęła 10. rocznica otwarcia więzienia, którego istnienie stało się zaprzeczeniem ideałów procesów norymberskich, a ponad 70 proc. badanych Europejczyków uważa je za największą hańbę Ameryki (według CNN 60 proc. Amerykanów jest przeciwnego zdania). Więzienie wojskowe w zatoce Guantánamo na Kubie jest dziś bardziej rozpoznawalnym na świecie symbolem Ameryki niż Statua Wolności. I przez najbliższe lata nic się nie zmieni. – W tej wojskowej bazie na gorącej Kubie trwa epoka lodowcowa. Guantánamo zamarzło – przekonuje Karen Greenberg, działaczka na rzecz praw człowieka z Fordham University, która od lat zajmuje się więzieniem. – Wykluczające się ustawy Kongresu i rozporządzenia prezydenckie sprawiły, że nic nie można zrobić z ludźmi tam uwięzionymi. Nielegalne jest zarówno ich przetrzymywanie w Guantánamo, jak i przeniesienie do Stanów Zjednoczonych. Nielegalne jest też odesłanie ich do domu. Wszystko jest nielegalne.

Ojciec z Mercedesa

Murat stracił w Guantánamo pięć lat życia. W 2001 r. jako 18-latek postanowił wyjechać do Pakistanu, by tam studiować Koran. Gdy dotarł na miejsce, Amerykanie byli już w Afganistanie. W drodze do Islamabadu jego autobus zatrzymała pakistańska policja. Miało się skończyć na szybkiej rozmowie →

Spośród prawie 800 więźniów, króży przeszli przez Guantánamo, tylko sześciu doczekało procesu



→ i rewizji. Po trzech tygodniach w areszcie Pakistańczycy oddali go Amerykanom w zamian za pięć tysięcy dolarów i zmyślone, jak się później okazało, zeznania, że Murat jest przeskolonym członkiem Al-Kaidy.

Najpierw trafił do więzienia w afgańskim Bagram, a potem już do Guantánamo. Tam amerykańscy śledczy pozbawiali go snu nawet na sześć dni i wystawiali go na ekstremalne temperatury. Trzykrotnie przywiązywali Murata do ławki i przechylali ją tak, aby stopy były nieco wyżej głowy. Wówczas przez szmatę wlewali mu wodę do ust – aby miał wrażenie, że się topi, czyli stosowali zakazany w prawie międzynarodowym waterboarding.

W Guantánamo siedziałby do dziś, gdyby nie upomniała się o niego jego niemiecka ojczyma. Ojciec Murata przyjechał z Turcji do Niemiec w latach 70. Przez ponad dwie dekady pracował w zakładach Mercedesa. Gdy Berlin dowiedział się, że jego obywatel jest nielegalnie przetrzymywany, natychmiast zażądał uwolnienia.

Pozostali więźniowie nie mieli już tyle szczęścia. Niemal wszyscy pochodzą z krajów, które nie gwarantują im bezpieczeństwa po wydaleniu z Guantánamo. A takich gwarancji zażądał amerykański Kongres od prezydenta Obamy,

gdy ten w ramach zamykania więzienia chciał odesłać do domu jednego z około 90 mieszkańców Guantánamo, którzy kwalifikują się do transferu. Reszta ze 171 obecnych więźniów nie ma nawet takiej szansy. 46 zostało uznanych przez Waszyngton za „zbyt niebezpiecznych, aby ich wypuścić, ale też zbyt niebezpiecznych, aby ich postawić przed sądem i zaryzykować wyrok uniewinniający”, czyli teoretycznie mogą zostać w Guantánamo tak długo, jak będzie istnieć więzienie. Pozostali mogliby stanąć przed sądem cywilnym, choć to również w praktyce jest niemożliwe.

Jeńcy bez granic

Ta kuriozalna sytuacja miała swoje źródła jeszcze w 2001 r., gdy prezydent George W. Bush po atakach z 11 września ogłosił początek „wojny z terrorem”. W ramach III konwencji genewskiej, której stroną jest również Ameryka, jeńcy wojenni, czyli żołnierze strony przeciwnej pojmieni na polu bitwy, mogą być przetrzymywani bez formalnego oskarżenia i procesu do końca wojny, aby w ten sposób uniemożliwić im powrót do szeregów wroga. Gorzej dla jeńców, jeśli ta wojna jest nieograniczona czasowo, bo żeby ją zakończyć, USA musiałyby w zasadzie podpisać

pokój z samym terrorem. Jeszcze gorzej, jeśli wojna, tak jak w tym przypadku, jest również nieograniczona terytorialnie. Teoretycznie przy tak nowatorskiej interpretacji wojny rząd Stanów Zjednoczonych mógłby aresztować domniemanego terrorystę gdziekolwiek na świecie i na tak długo, jak mu się podoba. Bez procesu.

Logikę tę podważył w 2008 r. amerykański Sąd Najwyższy. W wyroku w sprawie Boumediene vs. Bush odwołał się do V poprawki konstytucji USA, która stwierdza, że „Nikt nie będzie pociągany do odpowiedzialności (...) bez zalecenia lub postawienia na stan oskarżenia”. Kluczowe okazało się słowo „Nikt” – czyli nie tylko obywateli USA, ale również cudzoziemiec podlegający amerykańskiej władzy (również lokator więzienia Guantánamo) nie może być przetrzymywany bez procesu i wyroku.

Według Seta Waxmana, wielokrotnego obrońcy więźniów z Guantánamo, wyrok ten jest już dziś martwym prawem. Administracja prezydenta Busha upierała się przy jeńckim statusie więźniów z obawy, że dowody na ich terrorystyczną działalność okazały się zbyt słabe przed sądem cywilnym. Zdaniem to podzieliły sądy Dystryktu Kolumbijskiego

które bezpośrednio zajmowały się odwołaniami więźniów. Według Waxmana przeważa argumentacja, że Ameryka jest w stanie wojny i chodzi tu jednak o jeńców, których habeas corpus nie dotyczy, a więc nie mają prawa do sądu cywilnego.

Łódź ostateczny

Kandydat na prezydenta Barack Obama uczynił zamknięcie Guantánamo jednym ze swoich głównych haseł wyborczych. Obejmując władzę, powiedział, że „to więzienie stworzyło więcej terrorystów, niż ich gościło” i nakazał jego zamknięcie w ciągu roku. Przy zablokowanej drodze do sądów cywilnych Obama zaproponował odesłanie do krajów pochodzenia wszystkich niegroźnych i przypadkowo aresztowanych więźniów. Ci najgroźniejsi, z piątką zamieszana w przygotowanie zamachów z 11 września 2001 r. na czele, mieli trafić do więzienia o najwyższym poziomie zabezpieczeń w stanie Illinois. I w końcu stanął przed amerykańskim sądem cywilnym.

Szybko okazało się jednak, że kolejne samorządy sprzeciwiają się sprowadzeniu nawet garstki terrorystów na ich terytorium. Gdy w listopadzie 2009 r. Waszyngton hucznie zapowiedział, że proces najgroźniejszej piątki odbędzie się na Manhattanie, weto postawiły również władze Nowego Jorku. Wkrótce Kongres przyjął ustawę, która zabrania prezydentowi przenoszenia jeńców z Guantánamo na terytorium USA za pieniądze Departamentu Obrony. W efekcie już od ponad roku nikt nie wyszedł z tego więzienia.

Zatoka Guantánamo zamarzyła ostatecznie 31 grudnia 2011 r., gdy prezydent Obama podpisał ustawę National Defence Authorisation Act (NDAA), która nie tylko zabrania Białemu Domowi przenoszenia jeńców z Guantánamo pod jurysdykcję amerykańskich sądów cywilnych i uniemożliwia odsyłanie ich do krajów

pochodzenia, ale również zezwala na aresztowanie „jednostek będących zagrożeniem dla USA”, nawet jeśli chodzi o amerykańskich obywateli na terytorium Stanów.

W ten sposób Osama bin Laden odniósł swój ostateczny, pogrobowy triumf – największe amerykańskie władze, przyjmując NDAA, formalnie uznały całe terytorium USA za strefę wojny (z terrorem). A Barack Obama został pierwszym prezydentem USA od czasów bohatera antykomunistycznej nagonki senatora Joe McCarthy'ego z lat 50. XX w., który dopuścił możliwość zawieszenia zasady habeas corpus wobec amerykańskich obywateli. Guantánamo pozostało nietknięte.

Więzienie dziura

– Ale być może właśnie o to chodziło. Tak naprawdę nikomu w Waszyngtonie nie zależy na zamknięciu tego więzienia, bo nawet jeśli Obama kiedyś je zlikwiduje, to gdzieś na drugim końcu świata będzie musiało powstać nowe – twierdzi Benjamin Wittes, prawnik z waszyngtońskiej Brookings Institution, autor książki o Guantánamo „Detention and Denial” („Areszt i wyparcie się”). – To więzienie jest tylko symbolem, hasłem, za którym kryje się prawna dziura. Amerykańskie władze nie potrafią sobie z nią poradzić.

Wittes uważa, że Ameryka musi mieć swoje Guantánamo, czy to oryginalne na Kubie, czy też w innym miejscu, bo nie radzi sobie ze współczesnymi wyzwaniem. Waszyngton przez lata wysyłał na wyspę nie tylko domniemych terrorystów, ale też swoje prawo-polityczne rozterki. Nie wiadomo, jak zdefiniować wroga? Wyślijmy go do Guantánamo! Nie wiadomo, czy złapaliśmy go na polu bitwy? Na wszelki wypadek wyślijmy go do Guantánamo!

Gdyby Guantánamo nagle zniknęło, Ameryka musiałaby z dnia na dzień stawić czoła

swojej „wojnie z terrorem”, na co wciąż nie ma ani siły, ani odwagi. Amerykańska konstytucja nie działa wobec przeciwników, którzy nie są państwami. A problem nie zniknie. Wręcz przeciwnie. Coraz częściej po drugiej stronie frontu nie będzie państwa, ale na przykład Al-Kaida, piraci czy międzynarodowe gangi.

Co robić w takich przypadkach ze schwytanymi wrogami? Bill Clinton odsyłał ich do krajów pochodzenia, co często kończyło się zaginięciem bez śladu, bo miejscowe rządy bały się ich bardziej niż Amerykanie. Barack Obama zrezygnował z zablokowanego Guantánamo i albo umieszcza ich w więzieniu w Bagram, gdzie nie mają praktycznie żadnych praw, a organizacje praw człowieka nie mają tam wstępu, albo działa na skrót, eliminując ich na dystans za pomocą dronów, krążących nad afgańsko-pakistańskim pograniczem. A pomyłki, czyli zabitych cywilów, wlicza w koszty operacji.

Z tej perspektywy wyremontowane niedawno, nowoczesne i wygodne więzienie w Guantánamo z boiskiem i jedyną na świecie szkołą koraniczną, sponsorowaną przez rząd USA, jawi się jako szczytowe osiągnięcie humanitaryzmu. Od kilku lat obrońcy mają tam dużą swobodę w dostępie do więźniów, a dziennikarze do informacji.

Amerykańska Unia na rzecz Praw Obywatelskich (ACLU) ocenia, że ponad 90 proc. obecnych mieszkańców Guantánamo to nie żadni terroryści, tylko ludzie, którzy znaleźli się w złym czasie i w złym miejscu. Ich bezprawne zatrzymanie jest z pewnością hańbą dla Ameryki. Ale zamknięcie Guantánamo oznaczałoby transfer tych więźniów, na przykład do Bagram, czego nikt nie powinien im życzyć. W Guantánamo przynajmniej można patrzeć Amerykanom na ręce. I domagać się sprawiedliwości.

REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci



Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl



Narodziny myśli

Jak odczuwamy? Jak myślimy? Co decyduje o naszej tożsamości? Wszystko wskazuje na to, że przełom w badaniach nad ludzkim mózgiem nastąpi w tym roku. Zbliży się czas poznania odpowiedzi na najważniejsze pytania

OLAF SZEWCZYK

Mózg jest najmniej rozpoznany organem ludzkiego ciała. Siedlisko intelektu i osobowości pilnie strzeże swych tajemnic. Jednak jeszcze w tym roku, zapewne u jego schyłku, mamy nadzieję narysować mapę głównych połączeń nerwowych – tak deklarują ich kartografowie, pracujący w ramach najbardziej ambitnego przedsięwzięcia w historii naukowych badań nad mózgiem: Human Connectome Project.

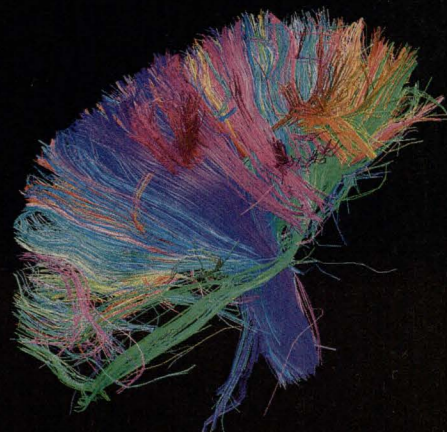
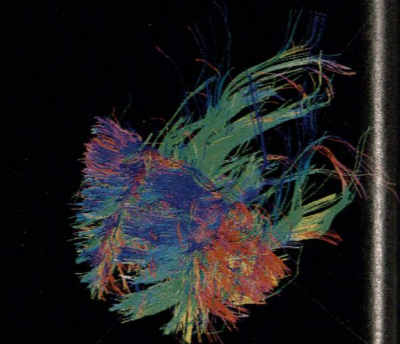
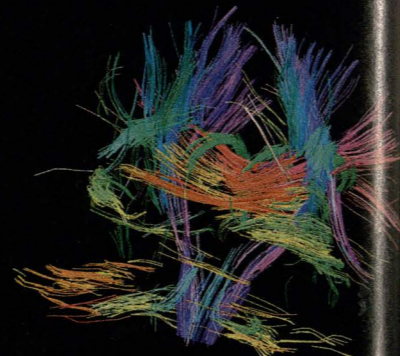
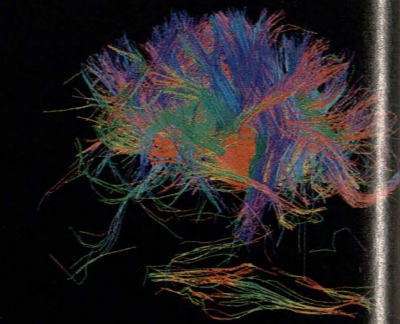
Przychodzi mózg do doktora

Human Connectome Project nieprzypadkowo nawiązuje nazwą do Human Genome Project, dzięki któremu poznaliśmy dokładną mapę genomu Homo sapiens. Jest inicjatywą również doniosłą, o fundamentalnym znaczeniu dla naszej wiedzy o sobie. Tytułowy konektom to sieć połączeń neuronalnych w ludzkim mózgu. Human Connectome Project ma na celu rozpoznać główne z nich. Wszystkich na razie się nie da – w mózgu człowieka jest w końcu, bagatela, około stu miliardów neuronów, z których każdy ma około dziesięć tysięcy połączeń. Zaczynamy zatem od autostrad i dróg głównych, szlaki drugorzędne oraz polne ścieżki zostawiając na później. W tym roku – jak deklarują naukowcy – mamy poznać podstawową mapę komunikacyjną mózgu. To bardzo wiele.

Owa niezwykła przygoda zaczęła się w lipcu 2009 r., z założenia jako plan pięcioletni. Żaden, nawet najlepszy pojedynczy zespół

badawczy nie byłby w stanie sprostać równie tytanicznemu wyzwaniu, dlatego do prac włączono ekspertów z różnych uczelni. Human Connectome Project jest finansowany przez kilkanaście instytucji wchodzących w strukturę amerykańskiego Narodowego Instytutu Zdrowia.

Prace prowadzą jednocześnie dwa konsorcja. Jedno z nich, które tworzą między innymi zespoły Uniwersytetu Harvarda, Uniwersytetu Kalifornijskiego i Massachusetts General Hospital, odpowiada za budowę superczułego skanera nowej generacji służącego do rezonansu magnetycznego. Ten etap prac, obliczony na trzy lata, powinien zakończyć się właśnie w 2012 r. Drugie konsorcjum, złożone z 11 ekip badawczych, którym przewodzą eksperci Uniwersytetu Waszyngtońskiego w St. Louis i Uniwersytetu Stanu Minnesota, ma za zadanie, wykorzystując między innymi ów superczuły skaner, zbadać mózgi 1200 zdrowych dorosłych osób. Oprócz rezonansu magnetycznego naukowcy będą wykorzystywać także inne techniki, w tym magnetoencefalografię i EEG. Podczas skanowania poddadzą badanych testom behawioralnym i innym eksperymentom. To pozwoli zrozumieć, co dzieje się w mózgu w trakcie różnorodnych aktywności oraz przeżywania takich, a nie innych emocji. Chcemy wiedzieć, jakie rejony mózgu łączą się wtedy ze sobą, w jaki sposób i którą drogą biegną impulsy. Dziś nasza wiedza na ten temat jest mniej niż skromna.



Barwne kwiaty naszych myśli, czyli architektura włókien nerwowych w substancji białej mózgu. Kolory oznaczają kierunek biegu impulsów, przykładowo czerwony: lewo → prawo; zielony: przód → tył

dobrą sprawę wiemy o mechanizmach myślenia i odczuwania tyle co nic.

Utki ciekawości

Zieść u korzeni tej inicjatywy leży odwieczne pragnienie zrozumienia, co stanowi o nas wyjątkowości jako istot myślących, odczuwających emocje, świadomych swego istnienia. To Święty Graal nauki o człowieku. Być może najważniejsza kwestia, którą musimy rozwiązać. Human Connectome Project nie pali zatem olbrzymie emocje nie tylko neurologów, psychiatrów i psychologów, ale u każdego naukowca i humanisty, który stawia świadomy stawka w tej rozgrywce. A jest przecież stawka o wszystko. Eksperyment Craiga Ventera (w 2010 r. skonstruował kopię bakteryjną z chemicznie zsyntetyzowanym genomem) udowodniły, jak bliscy jesteśmy stworzenia życia. Jeśli uda nam się pojąć emnicę inteligencji i świadomości, już tylko krok będzie nas dzielił od kreacji nowych myślowych bytów. A także – co nie mniej kuszące – ale i nie mniej niepokojące – nanoszenia efektu na własne umysły. Lifting inteligencji? Wzmocnienie pamięci? Brzmi tyleż obiecująco,

co niewinnie, ale skutki takich ingerencji dziś trudno w pełni przewidzieć (choć kilka czarnych scenariuszy nasuwa się samo).

To wszystko to jednak dalsza perspektywa – nie miejmy złudzeń, że Human Connectome Project rozsunie wszelkie zasłony skrywające istic faustowską wiedzę o nas samych. Na początek liczymy na coś innego. Zbadanie ponad tysiąca zdrowych mózgów pozwoli nam ustalić, co w sieci połączeń neuronalnych jest normą, a co aberracją. Pozwoli nam – na co liczymy – zrozumieć istotę zaburzeń psychicznych, chorób o podłożu neurologicznym, niezwykłych talentów. Zyskamy szansę, by wygrać wojnę z autyzmem, chorobą Alzheimera, schizofrenią, ale też by rozwijać w optymalnym kierunku potencjalnie wybitne umysły. Niekoniecznie poprzez bezpośrednią stymulację. Bezcenne byłoby choćby uświadomienie rodzicom, w jakich dziedzinach ich dziecko mogłoby osiągnąć sukces.

Myśli glejem się kleją

Przez długie dekady aż do niedawna patrzyliśmy na sieć połączeń neuronalnych mózgu jak na sieć połączeń w hiperskomplikowanym

procesorze (patrz: popularny niegdyś termin „mózg elektronowy”). Przekonanie, że wystarczy skopiować tę strukturę w komputerze, by sprowokować narodziny myśli, jest jednak naiwnością. Neurony to nie wszystko. Mamy już pewność, że szalenie ważne są także – przez lata tak lekceważone przez badaczy – komórki glejowe. Przez długie dekady traktowaliśmy je jako obojętne dla niezwykłych zdolności mózgu wypełniacz. Jako ochronną, amortyzującą otulinę sieci neuronalnej. Dziś wiemy, że byliśmy w błędzie – nie wiemy tylko w jak wielkim.

Co już ustaliliśmy? Że niektóre odmiany komórek glejowych mogą się komunikować. Że głównym wyróżnikiem mózgu Alberta Einsteina była nie inna, gęstsza struktura połączeń neuronalnych (pod tym względem nie odbiegał od normy), ale zdecydowanie większa – prawie dwukrotnie! – liczba komórek neuronalnych, czyli glejowych.

Mózg człowieka wciąż pozostaje dla naukowców zagadką. Rozpoczęte badania dają jednak nadzieję na, przynajmniej częściowe, jej rozwikłanie. I będzie to z pewnością początek fascynującej przygody.

Trzeba zabić tę śmierć



Czy będziemy żyć wiecznie? Czy wyrzeźbimy się na wzór bogów? Czy maszyny dojrzeją do myśli? Czy możemy winić Marka Stevenсона, autora książki „Co nas czeka?”, że chce, aby technologia była magią, która zbawi od zła?

OLAF SZEWCZYK

Siedzę właśnie w pociągu zmierzającym do Oksfordu i zastanawiam się, jak długo będę żył. (...) Kilka tygodni temu odwiedził mnie Posłaniec Śmierci i zapytał, co zamierzam zrobić z resztą życia. Nieważna jest odpowiedź, wiem jedno – moja przyszłość rozegra się w zupełnie innym świecie”. Stevenson z zaskakującą, godną szacunku szczerością deklaruje, dlaczego postanowił napisać „Co nas czeka?”. Wśród autorów książek popularnonaukowych, chętnie dążących do niedościgniętego standardu przekaznika, który nie jest przekazem, tak osobisty ton

jest rzadkością. Szkoda, bo najuważniej słuchamy tych, którzy nie ukrywają, że znalezienie odpowiedzi na ostateczne pytania jest dla nich kwestią palącą – myślicieli takich jak Capra, Penrose czy Hawking. Przecież i my z podobną nadzieją sięgamy po książki. Stevenson, dla którego najpewniej to również jest kwestia być albo nie być, wyruszył w podróż z nadzieją, że ów „inny świat” okaże się dlań posthumanistyczną arkadią. Doczesnym rajem, w którym człowiek przekroczy odwieczne ograniczenia swej kondycji, ze śmiercią na czele. Domyślając się, co go motywuje, ławiej wybaczymy zamykanie oczu na mroczne strony przewidywanej transformacji.

Książka jest relacją z pielgrzymki autora po laboratoriach i gabinetach najwybitniejszych naukowców, wynalazców i myślicieli, których praca dotyczy już nowej ery w historii człowieka. Do Oksfordu Stevenson wyruszył na spotkanie z profesorem Nickiem Bostromem, wówczas zaledwie 36-latkim (niedawno przekroczył czterdziestkę). Bostrom, niekwestionowany tytan intelektu, jest czołowym teoretykiem transhumanizmu. Stevenson bardzo chce uwierzyć Bostromowi, że wyeliminowanie śmierci i starości leży w naszym zasięgu. Że można wyłączyć wbudowany w ludzkie komórki mechanizm starzenia się i umierania. Że może sekret tkwi w telomerazie, enzymie zerującym licznik podziału komórek. A może w niezwykłych możliwościach komórek macierzystych? Mniejsza o to. Ważne, że jakoby jesteśmy już blisko. „Całkiem możliwe, że mała Abigail” – pisze o rocznej córce znajomych autor – „należy do ostatniego pokolenia, które będzie się musiało jeszcze borykać z chorobami i procesem starzenia się”. Brak refleksji, że tę szansę otrzyma tylko fi-

nansowa elita najbogatszych krajów, bo w wielu rejonach świata dzieci, dziesiątkowane głodem, nawet nie mają szansy dożyć śmierci z powodu starczej degeneracji tkanek.

Stevenson dostrzega zagrożenia biotechnologii, które mogą zmienić definicję człowieka, ale odnotowuje je niejako z obowiązku, nie poddaje ich analizie. Owszem, ulepszanie człowieka na poziomie genów wkrótce może stać się możliwe, ale nie sposób zachwycać się tym dążeniem do boskiej doskonałości bez bicia na trwogę. To przecież furta do powrotu społeczeństw kastowych odwołujących się do różnic rasowych – tym razem, niestety, nie urojonych, ale rzeczywistych. Czujemy, że Stevenson nie chce się zatrzymać na dłużej przy tych wątpliwościach, bo się boi. Bo po ludzku szuka dla nas – dla siebie – nadziei. „Co nas czeka?” należy zatem czytać szczególnie uważnie, z poprawką na filtr tego lęku.

Gdy to już wiemy, czeka nas pasjonująca podróż po wysuniętych placówkach awangardy współczesnej myśli naukowej. Rzadka szansa na spotkanie tak osobliwych bytów jak Leo (na zdjęciu), który wygląda jak „potomek Yody, który przespał się z owczarkiem niemieckim”, ale nie to jest w nim najdziwniejsze. Leo jest robotem, który potrafi się uczyć. „Czy uważasz, że Leonardo myśli? – pytam [jego konstruktorkę] – Mogłabym zadać to samo pytanie kilku fizykom i każdy z nich udzieliłby innej odpowiedzi”.

Nie jest ona w końcu tak ważna jak umiejętność zadawania odważnych pytań. Mark Stevenson to potrafi.



Mark Stevenson, „Co nas czeka? Krótki przewodnik po przyszłości”, przeł. Wioletta Kurkucińska i Julita Mastalerz, wyd. Carta Blanca, 405 s., 39,90 zł



Christoph Drösser, „Czy to prawda, że...”, przeł. Danuta Serwotka, Wydawnictwo Naukowe PWN, s. 360, 30 zł

Nie uwierzysz

Czerwona barwa campari pochodzi od zmielonych pluskw. Prawda czy fałsz?

Smakosze trunków, którzy pili ów likier jeszcze w ubiegłym wieku, chyba nie powinni czytać „Czy to prawda, że...” Christoph'a Drössera. Odchorowaliby to w łazience.

Ci jednak, którzy degustują campari od zaledwie kilku lat (czyli już po zmianie receptury), a także cała reszta, nie mają powodu, by się pozbawiać przyjemności lektury.

To zbiór pouczających i często zabawnych ciekawostek, których celem jest rozbrajanie funkcjonujących w zbiorowej świadomości memów oraz bezinwazyjne dostarczanie nierzadko cennej wiedzy.

Samochód, który zapalił się w wypadku, może eksplodować. Prawda czy fałsz? Oj, fałsz. Podkarmieni hollywoodzką bręją świadkowie kata-

strofy często jednak z powodu strachu przed eksplozją boją się podejść do płonącego auta, by udzielić pomocy ofiarom.

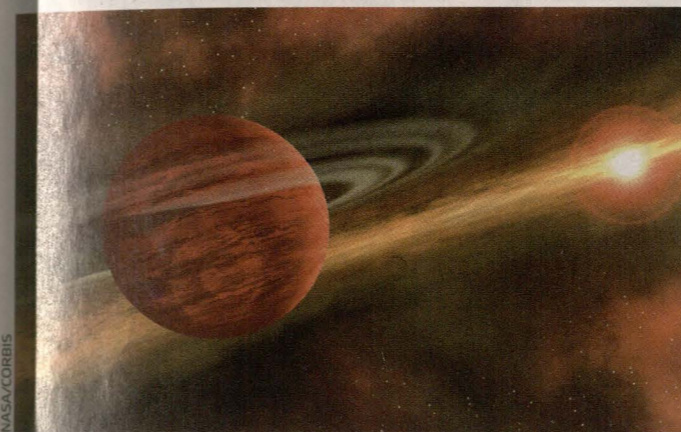
TEŻ PYTANIE



Kto pyta, nie błądzi. A my dalej szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

KAROLINA SAWICKA

1. Jak można zmierzyć masę całej planety czy gwiazdy? Nie mamy przecież takiej wagi!



To kilkusetkrotny proces, ale całość opiera się na założeniu, że każde ciało we Wszechświecie przyciąga każde inne ciało z określoną siłą grawitacji, która zależy od masy. Na początek wiemy więc, nawet bez pomocy pana Newtona, że Ziemia nas przyciąga. Jeśli upuścimy w jej kierunku jakiś obiekt o znanej nam masie, to znając naszą odległość od środka planety i mierząc przyspieszenie, z jakim nasz obiekt opada, możemy wyliczyć, o ile Ziemia jest od niego cięższa. Najważniejsze już za nami. Kolejne obiekty możemy wazyć, odnosząc je do Ziemi. Pierwsze niech będzie Słońce. Znamy odległość Ziemi do niego (skąd – to ma historia) i jesteśmy w stanie wyliczyć prędkość, z jaką nasza planeta pędzi po orbicie. Te dwie wartości pozwalają nam wyliczyć siłę doprodkową oddziaływania Słońca

na Ziemię. A skoro znamy tę siłę, to możemy też określić masę naszej gwiazdy. No i jesteśmy w domu, bo pozostałe planety można zważyć na podstawie ich orbit i prędkości. Nieco trudniej jest z bardzo małymi i bardzo odległymi obiektami. Na te pierwsze w widoczny sposób działa więcej sił grawitacyjnych niż tylko słoneczna. Dlatego ich masy są mocno przybliżone i oszacowane na podstawie rozmiarów obiektu oraz jego domniemanego składu. Z kolei odległe gwiazdy ważymy, porównując ich rozmiar (oceniający na podstawie jasności) ze znaną nam masą Słońca. Sporo liczenia, ale wyniki są całkiem niezłe – możemy je zweryfikować, mierząc bezpośrednio na przykład siłę, z jaką przyciągają planety wysłane przez nas sondy, których masę dobrze znamy.

MAREK RACZKOWSKI



2. Jak działają wkładki do butów likwidujące brzydkie zapach?

Najważniejszy jest w nich węgiel aktywowany stosowany także podczas zatrucia. I w butach, i w brzoju wykorzystuje się tę samą jego właściwość – ogromną powierzchnię w przeliczeniu na masę. Naprawdę ogromną, bo jeden gram węgla może mieć powierzchnię sięgającą nawet 2500 mkw. (to tyle, co cztery baseny olimpijskie). Wynika ona z wyjątkowej porowatości węgla. I właśnie te pory wiążą wszelkie substancje chemiczne, jakie do nich trafiają. W przypadku wkładek do butów największe znaczenie ma pochłonięcie

produktów przemiany materii, jakie pozostawiają po sobie bakterie – przede wszystkim metanotolu, będącego bezbarwnym gazem o odrażającym zapachu zgniłej kapusty. Cząsteczki gazu przylepiają się do węgla i przestają zatruwać atmosferę. Równie ważne jest jednak wiązanie wody – nasze stopy mogą w ciągu doby wypocić pół litra cieczy, a ta wraz z martwym naskórkiem stanowi główną pożywkę dla bakterii. Dodatkowo do niektórych wkładek dodaje się substancje bakteriobójcze lub bakteriostatyczne, takie jak związki srebra.

3. Czy częste latanie samolotem poprawi moją kondycję tak jak długie przebywanie na dużej wysokości?

Niestety nie, a raczej – w niezauważalnym stopniu. Poprawa kondycji wynika przede wszystkim z tego, że na dużych wysokościach w powietrzu jest mniej tlenu, więc organizm wytwarza więcej czerwonych ciałek krwi. Jeśli potem wrócimy na poziom morza, przez jakiś czas hemoglobina pozostaje i organizm dostaje więcej tlenu. Jednak w samolocie panuje tylko nieznacznie mniejsze ciśnienie – takie jak na wysokości dwóch kilometrów. Po drugie w samolotach przebywa-

my zwykle przez bardzo krótki czas – ledwie kilka godzin. Tak więc minimalny wzrost liczby czerwonych krwinek trwa krótko. Przykro nam.



Nasze nagrody:



Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolecie nauki i seksu” oraz **„Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego”** – wydawnictwo Znak;
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i **Richard E. Nisbett „Geografia myślenia”** – wydawnictwo Smak Słowa



- Do Emilii chciałabym się wprowadzić do końca roku
- mówi Joanna Mytkowska, dyrektorka MSN

Radek Pasternski

Sztuka z meblowego

Miał być nowy budynek, jest dom meblowy Emilia. **JOANNA MYTKOWSKA**, dyrektorka Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, w rozmowie z Jackiem Tomczukiem przekonuje, że epokowe zmiany potrzebują czasu

Jak się czujesz?

- Odkąd zapadła decyzja, że muzeum rozszerzy tymczasową siedzibę o dom meblowy Emilia, dobrze.

Wielu widzi w tym porażkę. MSN miało powstać w 2012 r., a jeszcze nie ruszyła budowa. Miał być nowy budynek, jest dom meblowy z lat 70., planowano 35 tys. metrów kwadratowych, będzie 10 razy mniej.

- Działam pragmatycznie w warunkach, jakie są. Nie jest łatwo wybudować muzeum w centrum Warszawy... A dodatkowo dopadł nas kryzys. Władzom miasta trudno znaleźć ponad 400 mln zł na muzeum. Sami więc zaproponowaliśmy rozwiązanie tymczasowe, aby nie tracić czasu i działać choć-

by w skromniejszej formule do momentu wybudowania budynku MSN.

W sierpniu Donald Tusk zadeklarował, że w Milanówku powstanie podziemne muzeum marszałka Piłsudskiego. Gdańsk nie odwołał budowy Muzeum II Wojny Światowej... Pieniądze są, ale na inne projekty.

- Widać nie jestem w stanie przekonać władz, że kultura współczesna jest równie ważna dla rozwoju kraju jak historia. Ale można odwrócić tę perspektywę. Zaczęłam pracę w muzeum z założeniem, że podstawą jest program wystaw na europejskim poziomie. Gdy go stworzyliśmy, zysaliśmy uznanie za granicą, ale w Polsce na nasze wystawy nie przychodziło zbyt wiele publiczności,

mówiono, że jesteśmy zbyt hermetyczni. Zdaliśmy sobie sprawę, że w Polsce brakuje tradycji szerszego uczestnictwa w kulturze współczesnej. Dlatego zaczęliśmy zmieniać formułę działania muzeum, aż stało się ono miejscem, gdzie nie tylko przechowuje się dzieła, ale gdzie się o nich debatuje. Cztery lata temu miasto zaproponowało nam zorganizowanie festiwalu designu. Odmówiliśmy i zaproponowaliśmy imprezę o Warszawie, potrzebach mieszkańców miasta. We współpracy z organizacjami i aktywistami dostarczamy pomysły na miasto, pokazujemy, jak z podobnymi problemami radzą sobie inne metropolie. Widzowie mają swój departament pro-

zyjni. Dziś „Warszawa w budowie” to nasza flagowa impreza.

Mimo to odnosi się wrażenie, że nie jesteście potrzebni miastu. Kiedyś mieliście zapewnić mu metropolitalny sznyt, dziś kojarzycie się tylko z wydatkami. Czujecie to?

- Wydatki na kulturę to inwestycja. Tak samo jak nakłady na edukację - lepiej wykształcone społeczeństwo to zysk dla wszystkich. Choć wolę patrzeć na miasto jak na pewną wspólnotę, nie jak na firmę. Ale jeśli mamy rozmawiać tylko o pieniądzach, to przecież jest coś takiego jak przemysł kultury i przemysł kreatywny. Muzea są dla nich środowiskiem naturalnym. Oczywiście, rozwijanie tych przemysłów wymaga kompleksowej strategii. Berlin inwestuje w przyciągnięcie do miasta artystów, bo za nimi przyjeżdżają inni. Zapewnia im tanie pracownie, ulgi. To przykład nowoczesnego i przyjaznego myślenia o mieście.

A może MSN nie powstaje, bo padliście ofiarą swoich ambicji i oczekiwań? Nie wyobrażasz sobie innej lokalizacji?

- Nie ja wybrałam lokalizację na placu Defilad. To była propozycja władz miasta, tyle że poprzednich. Obecnie muzeum jest zapisane w miejscowym planie zagospodarowania, i nie wydaje się, żeby ktoś chciał to zmieniać. **Muże warto go rozważyć. W Krakowie MOCAK powstał również dlatego, że stanął na uboczu.**

- Ale Kraków nie potrzebuje muzeum sztuki współczesnej w centrum, ponieważ tam jest dość innych atrakcji. Dla Warszawy to szansa na nową tożsamość miasta, które nie obfituje w historyczne pamiątki, za to aspiruje do bycia współczesną metropolią. Kiedy muzeum stanie na placu Defilad, wzrośnie ranga kultury współczesnej. To będzie jakościowa zmiana. Tu nie chodzi o budowanie gdziekolwiek, warto poczekać.

MSN miało być miejscem, które miało pokazywać sztukę tej części Europy, być jej reprezentantem. Czy w Emilii starczy wam na to miejsca?

- Ta koncepcja też została przeformułowana. Jesteśmy największym państwem regionu, może nawet o największych tradycjach artystycznych, ale to jeszcze nie powód, by samowolnie występować jako rzecznik artystów rumuńskich czy byłej Jugosławii. Geograficzne podziały w sztuce niebezpiecznie rymują się z neokolonializmem. Idea gromadzenia przede wszystkim sztuki z dawnej Europy Wschodniej opierała się na założeniu, że sztuka tej części Europy nie jest pokazywana w światowych muzeach.

To była szansa dla muzeum na unikalną kolekcję. Ale dziś największe instytucje w rodzaju Museum of Modern Art w Nowym Jorku już intensywnie kupują sztukę artystów zza żelaznej kurtyny. Na naszych oczach jest dzielony ostatni kawałek europejskiej sztuki, który jeszcze nie trafił w całości do muzeów. Zresztą MoMA podkupiło kuratorkę, która pracowała u nas nad historią awangardy byłej Jugosławii. Teraz robi to w Nowym Jorku. Wydaje się, że zamiast tworzyć w Warszawie wschodnioeuropejski zakamarek i odtwarzać imperialną politykę wielkich muzeów, ciekawiej będzie konfrontować naszego widza z problemami globalnymi. Będziemy budować program wokół problemów, a nie geografii.

Czego nauczyło cię czekanie na MSN?

- Cierpliwości. Po jakimś czasie zrozumiałam, że na przeszkodzie budowy muzeum nie stoi jeden określony problem czy niechętny urzędnik. Ale raczej kondycja społeczeństwa, które ma do nadrobienia różne cywilizacyjne zapóźnienia, słabo zapoznaną tradycję nowoczesności. Najbardziej politycznie wspierana nowa instytucja w stolicy - Muzeum Historii Żydów Polskich (nawet Barack Obama wybiera się na otwarcie) - buduje się już siódmy rok, choć politycy wszystkich opcji powtarzają, że musi powstać. Na razie z Warszawy do Gdańska jedzie się pociągiem siedem godzin. W Polsce czas ciągle płynie wolniej.

Jak dla mnie przegraliście ze Stadionem Narodowym.

- Oczywiście. Politycy uważają, pomimo naszych wysiłków, że piłka nożna jest bardziej popularna niż sztuka współczesna. Ale w Wielkiej Brytanii, gdzie pierwsze muzeum publiczne powstało w Londynie w XVIII w., Tate Modern zostało otwarte dopiero w 2000 r. A dziś - jak pisał niedawno „Financial Times” - w Wielkiej Brytanii więcej ludzi odwiedza muzea niż stadiony piłkarskie.

A może nasze władze wyczuły, że tak naprawdę nie muszą się spieszyć z budową MSN, bo ludziom nie jest ono potrzebne?

- Nie mam złudzeń, że powstanie muzeum będzie wynikiem tyleż decyzji urzędników, co jakiejś silnej społecznej potrzeby. Zresztą ona zachodzi. Ludzie w przestrzeni miejskiej najpierw chcą mieć przyzwoite kawiarnie, gdzie mogą spędzać wolny czas, potem idą na wystawę plakatu, za chwilę zacznie im przeszkadzać, że miasto jest takie brzydkie, zaczną się domagać ścieżek rowerowych...

A w końcu będą chcieli muzeów i sztuki nowoczesnej. Cztery lata temu nie wiedzieliśmy, jakie mamy poparcie, dzisiaj czujemy, że jest ono duże. Wiele się zmieniło w odbiorze sztuki. I zmieniło się podejście do sztuki ze strony państwa. Podczas przygotowań do polskiej prezydencji w Unii Europejskiej okazało się, że najlepszym polskim towarem eksportowym jest właśnie kultura współczesna...

Jakie są plany na działalność muzeum w Emilii?

- Zintensyfikujemy to, co jest naszą główną misją, czyli upowszechnianie wiedzy. Jak nie masz odpowiedniej sali, to trudno zaprosić do siebie dzieci, młodzież, Uniwersytet Trzeciego Wieku. Potrzeba takich działań jest wielka, z warsztatów, jakie przeprowadziliśmy w dobrych warszawskich liceach, wynika, że ich uczniowie w większości nie wiedzieli o takim zjawisku jak sztuka conceptualna. Wybudujemy stałe audytorium. Wystawimy też swoją kolekcję. Dzięki nowemu programowi Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego od zeszłego roku są w Polsce fundusze na kolekcjonowanie międzynarodowej sztuki współczesnej. To będzie dobry okres przejściowy między średnim muzeum a tym przyszłym: dużym i bardzo popularnym.

Nie boisz się, że Emilia będzie zamiast?

- Parę dni temu występowałam w audycji radiowej wspólnie z ministrem Bogdanem Zdrojewskim, który zapewnił, że muzeum jest ważne „tak samo dla Warszawy, jak i Suwałk”. Mogę chyba zaryzykować, że w okolicach roku 2017 muzeum ma szansę się otworzyć w nowym gmachu. Odczuwam dysproporcję między sukcesami polskich artystów, przyjęciem naszych koncepcji na forum międzynarodowym a tym, jak jesteśmy osadzeni w Warszawie. Każda warszawska instytucja została powołana w pewnym momencie historycznym i te okoliczności narzucają ramy działania. Zachętę założono jeszcze w XIX w. Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski na przełomie lat 80. i 90. XX w., kiedy wszystko było płynne i nowe. A my jesteśmy z momentu, kiedy nowa generacja, która dorastała po 1989 r., dogoniła mentalnie Zachód i szuka sobie nowego miejsca. Scena międzynarodowa to nasze naturalne środowisko. Organizujemy wielką wystawę Aliny Szapocznikow w Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Jesteśmy w stanie zainteresować swą propozycją olbrzymią instytucję sztuki... My ludzie ze sklepu meblowego! ●

Ciasteczeko z kolcem w środku

W kryzysie stacje telewizyjne wolą nie ryzykować i stawiają na wypróbowaną rozrywkę. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy będą musiały zmierzyć się z tym, co ludzi naprawdę boli: ze sprawami Kościoła czy rozliczeniem z kapitalizmem – uważa **ROBERT BRUTTER**, scenarzysta m.in. „Rancza” i „Ekstradycji”



ROZMAWIA
JACEK TOMCZUK

Robert Brutter

Właściwie Andrzej Grembowicz. Scenarzysta seriali (m.in. „Ekstradycja”, „Rodzina zastępcza”, „Rancho”) i filmów kinowych („Nocne graffiti”, „Amok”). Za scenariusz „Emigranta”, napisany razem z Tomaszem Wiszniewskim, otrzymał w 1995 r. II nagrodę w konkursie Hartley Merrill. Autor powieści kryminalnych „Spadek na życzenie”, „Parszywy dublet”, „Nie oplaca się bić Maxa” i „Rekontra”. Píše też dla teatru. Mieszka w Warszawie.

Sledzi pan wyniki oglądalności?

– Możliwie rzadko.

Ja też, ale ostatnio jedno badanie mnie zaciekało. Nadawany na żywo spektakl Teatru Telewizji „Boska” oglądało prawie 3 mln widzów. Tymczasem klasyczne seriale notują spadki: „Klan”, „Pierwsza miłość”, a nawet „M jak Miłość”. Co pan na to?

– Rozumiem, że pyta mnie pan, czy się nie boję utraty pracy? No, jeśli nawet, to nie z tego powodu, że seriale przestaną być oglądane tak w ogóle. Po pierwsze, teatr z serialem wcale się nie wykluczają. To nie tak, że widzom nagle znudziły się seriale, bo są szmirowate, i pokochali ambitny teatr. Myślę, że „Boska”, gatunkowo też przecież tekst raczej lekki, była niestety wyjątkiem, świetnie reklamowaną galą z Krystyną Jandą w roli gwiazdy, starannie dobraną publicznością i tak dalej. To raczej event był, a nie normalny teatr telewizji. A mnie akurat zmartwiło, że tylko trzy miliony, bo miałem nadzieję, iż będzie więcej, i trzy-małem kciuki.

Po drugie, jeżeli serialom spada oglądalność, to raczej w wyniku sezonowych wahań. Im ładniejsze wiosna czy jesień, tym oglądalność niższa. A jesień mieliśmy wyjątkowo słoneczną tego roku. Kiedy widzę, że „M jak Miłość” ogląda 7-8 mln ludzi i nawet jeżeli to paręset tysięcy mniej niż kiedyś, to jak na serial mający tyle lat jest to wciąż wynik oszałamiający. Trudno powiedzieć, że publiczność jest nim zmęczona. Po trzecie, kiedyś było 10 seriali, dziś jest

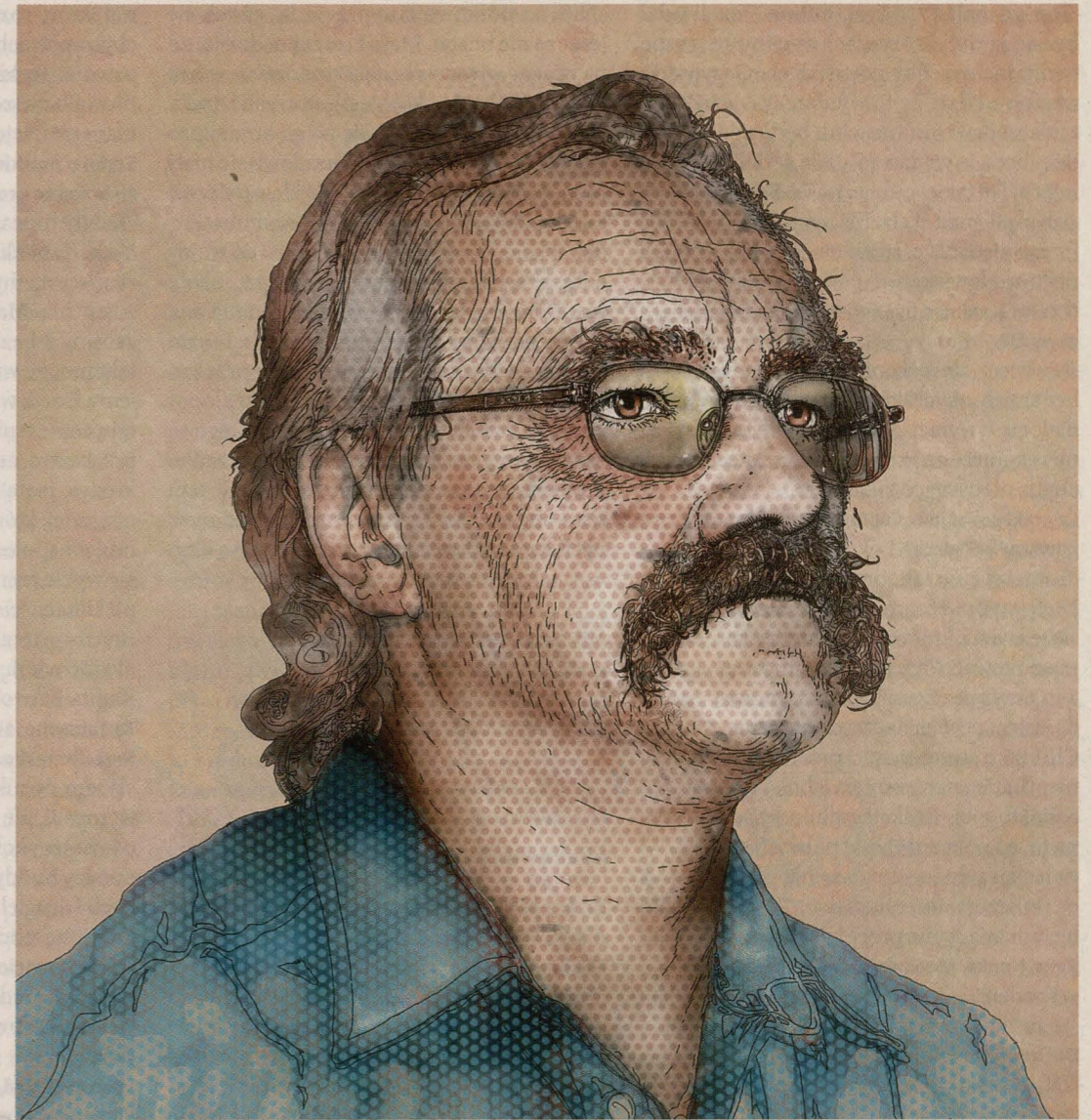
30. Nie wystarcza widowni na wszystkie. Liczba ludzi oglądających telewizję nie zwiększyła się trzykrotnie.

Czyli może pan spać spokojnie?

– Gdyby więcej ludzi miało ochotę oglądać dobre spektakle w telewizji, to – jako obywatel tego kraju, przepraszam za wyrażenie – spałbym jeszcze spokojniej, bo oburącz jestem za misją telewizji publicznej, w tym za atrem telewizji, do którego absolutnie trzeba dopłacać, bo powinien być narodowym skarbem. Tylko jednocześnie trzeba mieć pomysły, jak tę misję realizować, bo nie wszystko złote, co się świeci, i bardzo łatwo różne zakalece uzasadniać, że to misja i musi być nudno oraz droższe. Jak siądzie paru recenzentów filmowych i przez godzinę wymienia poglądy, to jest misją zdecydowanie nieudana na przykład, bo ostatecznie widz usypia po kwadransie. No i wiadomo, że telewizja, zwłaszcza publiczna, musi opierać się na wielu poziomach, bo widzowie są różni. Więc problemem telewizji nie jest to, że emituje głupie seriale, ale to, jak się w niej mierzy porażkę i sukces, a mierzy się tak samo niezależnie od tego, co się emituje: czy w tym samym dniu i o tej samej godzinie inne seriale miały więcej widzów, czy mniej. To jedyny, mordercze kryterium, jakoś nie ma nic do rzeczy. Każda telewizja jest firmą do zarabiania pieniędzy. Publiczna też. Żeby było jasne, ja się TVP nie dziwię, musi też z czegoś żyć, no a przecież nie z abonamentu, którego nikt nie płaci.

„Nie ma dziś takiego tworu jak statystyczny „polski widz”. Zabiły go Internet i cały ten kłopot informacyjny, który narasta

ROBERT BRUTTER



Pisze pan scenariusze seriali od kilkunastu lat. Wie pan, czego potrzebuje Polak przed telewizorem?

– Nie ma dziś takiego tworu jak statystyczny „polski widz”. Zabiły go Internet i ten cały kłopot informacyjny, który narasta z roku na rok. Kiedyś istniał jakiś uniwersalny zestaw, kanon lektur i wiedzy, do którego można było się odwołać. Tak mi się wydaje, że widzowie „Domu” czy „Nocy i dni”, jak już mówimy o serialach, mieli dużo wyraźniejszą wspólną bazę kulturową. Dziś każdy ma swoją piwniczkę, w której się zaopatruje, źródło, z którego czerpie wiedzę. A potem ktoś ogląda „Dr. House’a”, ktoś inny telenowelę i często ci ludzie nie mają ze sobą kompletnie nic wspólnego, jakby byli z różnych planet... Ciężka sprawa napisać dla wszystkich.

Ale jest to możliwe?

– Tak dla wszystkich – nierealne. „Ranczo” miało w porywach nawet ponad 9 mln widzów, ale to nadal w niedzielę wieczorem „tylko” ok. 60 proc. widowni. Czyli 40 gdzieś uciekło, co mnie oczywiście wkurza (śmiech). **Najwięcej zgubił pan młodych. Socjologowie mówią, że nasze seriale nie mają młodej polskiej publiczności. Czuje to pan?** – Nie wydaje mi się, żebyśmy zgubili – procentowo młodych widzów „Rancza” jest mniej więcej tyle samo, a przy tej widowni liczby bezwzględne są dość imponujące, to jednak ponad dwa miliony młodych ludzi. Ale jeżeli pan pyta, czemu nie ma ich więcej od początku, to ma pan rację, dla mnie to też jest kłopot. Ale młodzi widzowie, jeszcze bardziej niż starsi, są szalenie zróżnicowani.

Proszę choćby spojrzeć na kino. Naprawdę wielką widownię robią tam ludzie ewidentnie młodzi, dla dystrybutorów statystycznie widz po 23. roku życia nie istnieje. Te młode dziewczyny, licealistki albo niedługo po szkole średniej, są głównymi konsumentkami romantycznych komedii, potrafią pójść 15 razy na film, bo na przykład zakochały się w którymś z Mroczków. Ta grupa ma też swoje seriale, proste, oparte na miłośnej intrydze, ogląda ich masę. Z kolei studenci w ogóle rzadko oglądają telewizję, a więc i seriale. Jeżeli już, to zachodnie, jak „Californication”, ostre obyczajowo, odważne i całkowicie nienadające się dla starszych pań z małymi miasteczek. Z dużych też zresztą. Dla tego młoda inteligencja to nie jest dobra publiczność dla seriali.

Przelotne spotkanie

Podobno nie ma takiej rany w sercu, której nie dałoby się zaleczyć. Czyżby?

MICHAŁ OLESZCZYK

Chłopak poznaje chłopaka. Śpią ze sobą, rozmawiają, kłócą się. Russell dąży do zawarcia związku, Glen postrzega samą tę kategorię jako opresyjny spiszek konserwatywnych heteryków. Po kilku dniach ów drugi wyjeżdża na dwuletnie stypendium artystyczne do Stanów. Czyja wizja relacji międzyludzkich wygrała? Czy ból rozłąki pchnie kochanków z powrotem ku sobie? A może nie ma takiej rany w sercu, której nie dałoby się zaleczyć?

Jest to film o ludziach uwikłanych w wieczną chwilowość. Russell chce się z niej wyrwać, a Glen agresywnie celebrowa ją jako alternatywę dla zabójczego „domu z ogródkiem i psem”. Zdumiewający duet aktorski – Tom Cullen i Chris New – kreśli podwójny portret kochanków błyskawicznie przechodzących od stadium zapatrzenia w obiekt pożądania do wpatrzania w drugą osobę. Debiutujący reżyser Andrew Haigh (który film także



napisał i zmontował) ani w jednej scenie nie sięga po filmowe klisze prezentacji związku jako sekwencji przeplatających się spacerów, posiłków i pieszczot. Przez cały seans mamy wrażenie obcowania z surową prawdą złożonej relacji emocjonalnej.

Zaczyna się ona od erotycznego fajerwerku, którego nie widzimy na ekranie – reżyser z całym rozmysłem dopuszcza nas do intymności ciał bohaterów dopiero wówczas, kiedy ich związek wychodzi poza stadium jednoczesnej przygody.

Siła przyciągania obydwu mężczyzn jest ewidentna, ale wartość opowieści tkwi w inteligentnym przeciwstawieniu sobie ich zupełnie odmiennych temperamentów. Russell jest cichy, lekko wycofany i łatwo się zawstydzają (także w łóżku); Glen natomiast to buńczuczny gejowski wojownik i seksualny świntuch, z lubością prowokujący Russella wulgarnością i bezpośredniością.

„Zobaczysz, że heterocy nie przyjdą na wystawę o gejowskim seksie!” – zapewnia Russella Glen,

opowiadając mu o swoim projekcie artystycznym. W najbardziej lirycznym obrazie filmu okno, w którym całują się bohaterowie, jest jednym punktem światła na fasadzie szarego bloku w środku podmiejskiej nocy. Widzu – czyś homo, czyś hetero – ścisk serca gwarantowany!

ccccc

„Zupełnie inny weekend”, reż. Andrew Haigh, Wielka Brytania 2011, 97', Tongariro Releasing, premiera 27 stycznia

Ostatni śmiech pacynek

Muppety wracają i znów robią chaotyczny, arcyzabawny show



Dla pokolenia polskich 30- i 40-latków mupety to czułe wspomnienie z dzieciństwa. Na sentymencie zresztą jest zbudowany film o nich: główni bohaterowie, czyli Mary i Gary (ludzie) oraz jego brat Walter (pacynek), znają i pamiętają program z dawnych lat. Walter jest ich największym fanem, bo oglądając „Muppet Show”, nie czuł się inny i odrzucony. Gdy jest dorosły, spełnia swoje marzenie i zwiedza teatr idoli sprzed lat, który okazuje się zapuszczoną rudera. Aby nie przejął jej bogaty biznesmen, mupety muszą się skrzyknąć i dać ostatni występ. Wracają więc Kermit, Gonzo, panna Piggy, Zwierzak, Scooter i inni. Ich show jest arcyzabawny, tradycyjnie pełen chaosu, absurdalnych żartów oraz wariackich numerów muzycznych (można się popłakać ze śmiechu, słuchając ich wersji „Smells Like Teen Spirit” Nirvany). Przy okazji

widać, jak przez ostatnich kill-anaście lat popkultura się zinfantylizowała. Program mupetów zawsze był inteligentnie kąśliwy, wszak była to także satyra na ówczesną telewizję; pacynkowie komicy są nadal zabawni, ale współczesne postaci są nieciekawie i infantylne. Dają fabularny pretekst do pojawienia się mupetów, ale to koniec ich zasług. Aktorzy zamiast grać, wygłupiają się i co chwilę dystansują wobec konwencji filmu, jakby nie wierzyli w siebie pacynek lub uznali, że dziś nie da się zrobić filmu dla całej rodziny bez mroguania okiem. Na miejscu etatowych malkontentów – Statlera i Waldorfa – wygoniłabym ich laską z ekranu już w drugiej scenie.

ccccc

„Muppety” reż. James Bobin, USA 2011, 103', Forum Film, premiera 20 stycznia

Umarł jazz, niech żyje jazz

Levity na nowej płycie uciekają nam wyżej i dalej. I oby tak pozostało

ANNA GROMNICKA

A trudno uwierzyć, że ci skromni chłopcy grają tak wyrotowy jazz. A raczej – po prostu muzykę. W ciągu kilku lat funkcjonowania jako Levity Jacek Kita, Piotr Domagański i Jerzy Rogiewicz zdążyli nagrać trzy totalnie różne płyty: klasycznie jazzową („Levity”), eklektyczną (słynna „Chopin Shuffle”) i najnowszą... No właśnie, jaką? „Afternoon Delights” przynosi materiał inny niż poprzednie albumy. Dwanaście utworów zostało zarejestrowanych w ciągu czterech dni, praktycznie na żywo, bez powtórek. Następnie muzycy (każdy osobno) wynotowali z tych



Materiały prasowe

nagrań fragmenty, które ich zdaniem powinny znaleźć się na płycie. Wybranimi dźwiękiem zajęli się w studiu Marcin Bors. Co zostało z tych półimprowizacji? Ci, którzy mieli szansę wysłuchać „Afternoon Delights” w zeszłym roku na jednym z kilku koncertów,

między innymi w klubie Chłodna 25 w Warszawie, wiedzą, że utwory te świetnie „wchodzą” na żywo. Levity są zresztą jednym z naszych najlepszych zespołów koncertowych. Ale to nie znaczy, że płyta została stworzona wyłącznie dla koneserów – jeśli podejdziecie do niej bez

przedzeń, otworzy się przed wami niesamowite spektrum dźwięków. Chłopaki „jadą” po całej, bez wyjątku, muzyce współczesnej – od polirytmii i polimetrii, przez free jazz, elektronikę, eksperymenty elektroakustyczne, muzykę konkretną, post-rock i krautrock („Over The Rainbow”), po ambient, jak w króciutkiej „Komunii”. Zestawiają te elementy z konsekwencją i erudycją, która czyni ich najbardziej poszukującym trio jazzowym na naszej scenie. Nie dajcie się zwieść temu, że muzyka tu raczej krąży, niż posuwa się w określonym kierunku – każda nuta ma swoje miejsce i każda intryguje. Pod płaszczykiem brzmieniowego chaosu kryje się ściśle rozplanowany scenariusz Levitów – uciec wszystkim, i to jak najdalej. Przecież zobowiązuje ich do tego nazwa grupy, która oznacza „frywolność, beztroskę”. Może panowie ustatkują się na następnej płycie... Mam nadzieję, że tak się nie stanie.



ccccc
Levity „Afternoon Delights”, LADO ABC 2011

Warto śpiewać polskie piosenki

Ukazanie się tego albumu zwiastowały Nerwowe Wakacje, Emma Dax i Furia Futrzaków. I po czterech latach czekania wreszcie jest

Zarty się skończyły – taki tytuł powinna nosić pierwsza płyta Afro Kolektywu dla wytwórni Universal. Drużyna Afrojaka wyszła z warszawskiej ligi okręgowej, jej lider śpiewa, zamiast rapować, a reszta składu gra znacznie ambitniejsze rzeczy niż imprezowy funk. Wspólny cel mają jeden – przypomnieć wszystkim, że pisanie piosenek po polsku to poważna sprawa. Do tego stopnia, że do świetnego singla „Wiążę sobie krawat” trzeba było zatrudnić dziecięcy chór, w „Naszej doskonałości” muzycy zostawiają miejsce na improwizację, w „Do ukochanej pracy” chytrze łamią wpadającą w ucho harmonię, a w „Mało miejsca na dysku” jak na złość komplikują rytm. W rozbudowane kompozycje upychają jazz,

funk, disco, a przy okazji nie kryją słabości do Papa Dance, Kombi i Lady Pank.

Afrojax też nie przebiera w środkach, w gęstym potoku słów przywołuje Matkę Teresę, Kim Dzong Ila oraz Statlera i Waldorfa z „Muppetów”. Szkoda, że jego wynurzenia nie są tak błyskotliwe i zabawne jak kiedyś, ale przynajmniej dzieciaki nie pomylą Afro Kolektywu z Afromentalem. Szczerze gratulujemy awansu do pierwszej ligi!

JACEK SKOLIMOWSKI



ccccc
Afro Kolektyw „Piosenki po polsku”, Universal

Grajcie swoje

Pierwsza ważna płyta tego roku na brytyjskim rynku muzycznym, czyli pierwsze koty za płoty?

Gdyby potraktować „Given to the Wild” jako proroczo na 2012 r., to wszystko wskazuje na to, że falę prostego indierockowego grania na razie mamy za sobą. Wiedzą o tym już członkowie The Horrors czy Wild Beasts (sięgnijcie ponownie po ich zeszlóroczną płytę), a teraz zorientowali się też The Maccabees. Wyraźnie zafascynowani krążkiem „The Suburbs” Kanadyjczyków z Arcade Fire gitarzyści zespołu dokupili sobie kilka efektów, wzięli lekcję śpiewu, perkusistę wysłali na dodatkowy kurs, a do pomocy w studiu ściągnęli sekcję dętą, instrumentów smycz-



Materiały prasowe

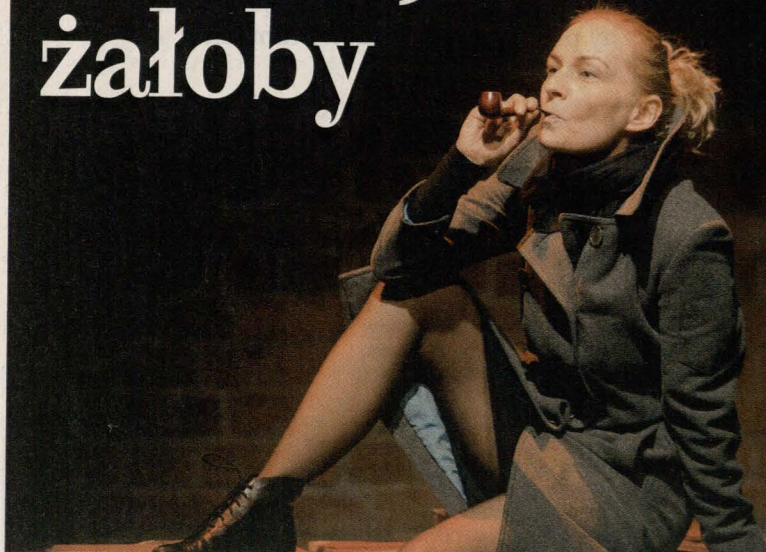
kowych i producenta Tima Goldsworthy'ego (bFA). Ich nowy materiał w lepszych, dynamicznych momentach rzeczywistości brzmi jak rozbuchane Arcade Fire, w słabszych i dosyć rozlazłych do złudzenia przypomina Coldplay czy Kings of Leon. Młodzi Brytyjczycy, nie idźcie tą drogą! Wymyście lepiej na ten rok coś bardziej oryginalnego.

JAS



ccc
The Maccabees „Given to the Wild”, Fiction/Universal

Rozbrajanie żałoby



„I będą święta” w warszawskim Teatrze Konsekwentnym to spektakl nie tylko o Smoleńsku. To historia o tym, jak rozpocząć życie po żałobie

JACEK WAKAR

Z e strony Piotra Rowickiego, który ten tekst napisał, dowiadujemy się, że jest on przede wszystkim autorem licznych książek dla dzieci. „Gryźgo idzie w świat”, „Przygody kota detektywa” – tytuły zachęcają do lektury. O Rowickim jako pisarzu dziecięcym nie słyszałem, znam natomiast jego dramaty. Wadzi się w nich z problemami wagi ciężkiej, zabierając głos w sprawach trudnych. W „Przylgnięciu” w tle było Jedwab-

ne, w „Chłopcu malowanym” echem niosły się strzały w Nangar Khel, „Baden-Baden” traktowało o stosunkach Polaków i Niemców tuż po wojnie. Doceniam intencje twórcy, ale mam z jego sztukami kłopot. Zbyt wiele w nich stereotypu, zanadto zdają się deklaratywne. Jakby ciążyła na nich szlachetność autorskiego założenia.

„I będą święta” z pozoru mieści się w tej samej kategorii. Oto opowieść kobiety opłakującej stratę męża. Był – jak się domyślamy – pilotem. Zawsze po wylądowaniu pisał sms.

Tym razem nie zrobił tego, ktoś zadzwonił, by włączyła telewizor. Po tem odmowa udziału w spotkaniach rodzin ofiar, reminiscencje tragedii. Wszystko wydaje się jasne – książkowe i filmowe zapisy wspomnień bliskich ofiar katastrofy smoleńskiej mogły posłużyć Rowickiemu jako inspiracja, zapewne nawet tak było. Tyle że monodramu Agnieszki Przepiórskiej w reżyserii Piotra Ratajczaka nie da się zamknąć w szufladzie pod tytułem „Odreagowanie posmoleńskiej traumy”.

Korponuda

Z pustego i Krystyna Janda nie należy

P odobno było tak, że Krystyna Janda przeczytała „Kontrakt” Mike’a Bartletta, odłożyła go, ale nie dawał o sobie zapomnieć. „Okazało się, że ten tekst zrobić muszę! Nie mogę się od tej historii oddeścić” – pisze reżyserka w programie. Tyle że nawet Krystyna Janda ma prawo do pomyłki.

„Kontrakt” jest o kontrakcie właśnie. O tym, że wstępując do korporacji, godzisz się zdawać szefowi relację ze swego życia prywatnego

o oraz informować go o wszystkich najbardziej osobistych planach. Tylko tak bowiem firma może w pełni wykorzystać twoją wydajność, czerpać z ciebie jak największy zysk. Coś takiego spotyka Emmę (Maria Seweryn), która wdaje się w romans z kolegą z pracy, o czym jej przełożona (Agnieszka Michalska) dziwnym trafem od razu wie.

Spektakl opiera się na rozmowach dwóch kobiet, od początku obsadzonych w jasno określonych rolach.

Menedżerka reprezentuje bezduszną maszynę korporacji, jest trochę jak Wielki Brat z wiadomego programu, zatem sama przypomina zaprogramowany w centrum dowodzenia automat. Emma zaś jest ofiarą, nie zdaje sobie sprawy, że firma chce mieć ją na własność. Dlatego miota się między godnością a pragmatyzmem. Koniec tej szamotaniny zbyt łatwo przewidzieć.

Słabość „Kontraktu” w Polsce wynika zatem przede wszystkim z tego, że młody angielski dramaturg nie mówi niczego nowego. Janda mimo to wierzy w siłę sztuki, od siebie nie dodając wiele. Aktorki zaś na niewielkiej scenie, w sztywnych uniformach, są jak uwięzione. Maria Seweryn gra Emmę zdumiewają-

Mówi coś więcej o tym, jak stawić czoła żałobie i jak rozpocząć po niej życie na nowo.

Agnieszka Przepiórska na warszawskich scenach pojawiała się dotąd sporadycznie (bodajże tylko w jednym przedstawieniu w nieistniejącej już Wytwórni), dobrze jest za to znana widzom w Wałbrzychu, Bielsku-Białej, Koszalinie. Strata to dla Warszawy, bo przygotowanym w Teatrze Konsekwentnym monodramem pokazuje, że jest aktorką w pełni angażującą uwagę, o wielkiej sile scenicznej obecności. W „I będą święta” pokazuje całą skalę swych możliwości. Jej bohaterka z początku idealizuje swe małżeństwo, przedstawia samą siebie jako dziecko szczęścia. Potem przychodzi czas na załamanie, bunt i odrzucenie ustalonych norm przeżywania żałoby. Nie oszukuje nikogo, nie próbuje udawać, że bólu nie ma, że go nie czuje. Jednak odrzuca powszechnie używane w takich sytuacjach gesty. A potem przychodzi świadomość, że dotychczasowe życie wcale nie było idyllą, raczej wzmianieniem, że jest tak dobrze. I teraz można zacząć wszystko jeszcze raz.

Niby nic odkrywczego, również ten tekst Piotra Rowickiego zdaje się w zbyt dużym stopniu bazować na zużytych mocno kliszach. Tyle że w Konsekwentnym życie daje mu świetnie dysponowana, dobrze prowadzona przez reżysera aktorka. Przepiórska jest w tej roli wyzywająca, bezczelna, cierpiąca, wściekła i zagubiona. Jednocześnie. Warto iść na „I będą święta” przede wszystkim dla niej.

ccccc

„I będą święta” Piotra Rowickiego, reżyseria Piotr Ratajczak, światła Karol Rothkaehl. Teatr Konsekwentny w Warszawie

jąco jednostajnie – od neurotycznej zamknięcia w sobie, aż do efektownych spazmów. Agnieszka Michalska robi, co może, by skruszyć panicerz menedżerki, ale autor nie daje jej szans. W efekcie krótkie przedstawienie dłuży się niemilosierdzie, a jedyne, co po nim pozostaje, to nadzieja, że Krystynę Jandę zmysł poszukiwaczki repertuaru dla swojej sceny zawiódł tylko na chwilę.

cc

„Kontrakt” Mike’a Bartletta, przekład Elżbieta Woźniak, reżyseria Krystyna Janda, scenografia i kostiumy Krystyna Janda oraz Małgorzata Domańska, muzyka Blvck. Teatr Polonia w Warszawie

STOPKLATKA

List ze Śródziemnomorza

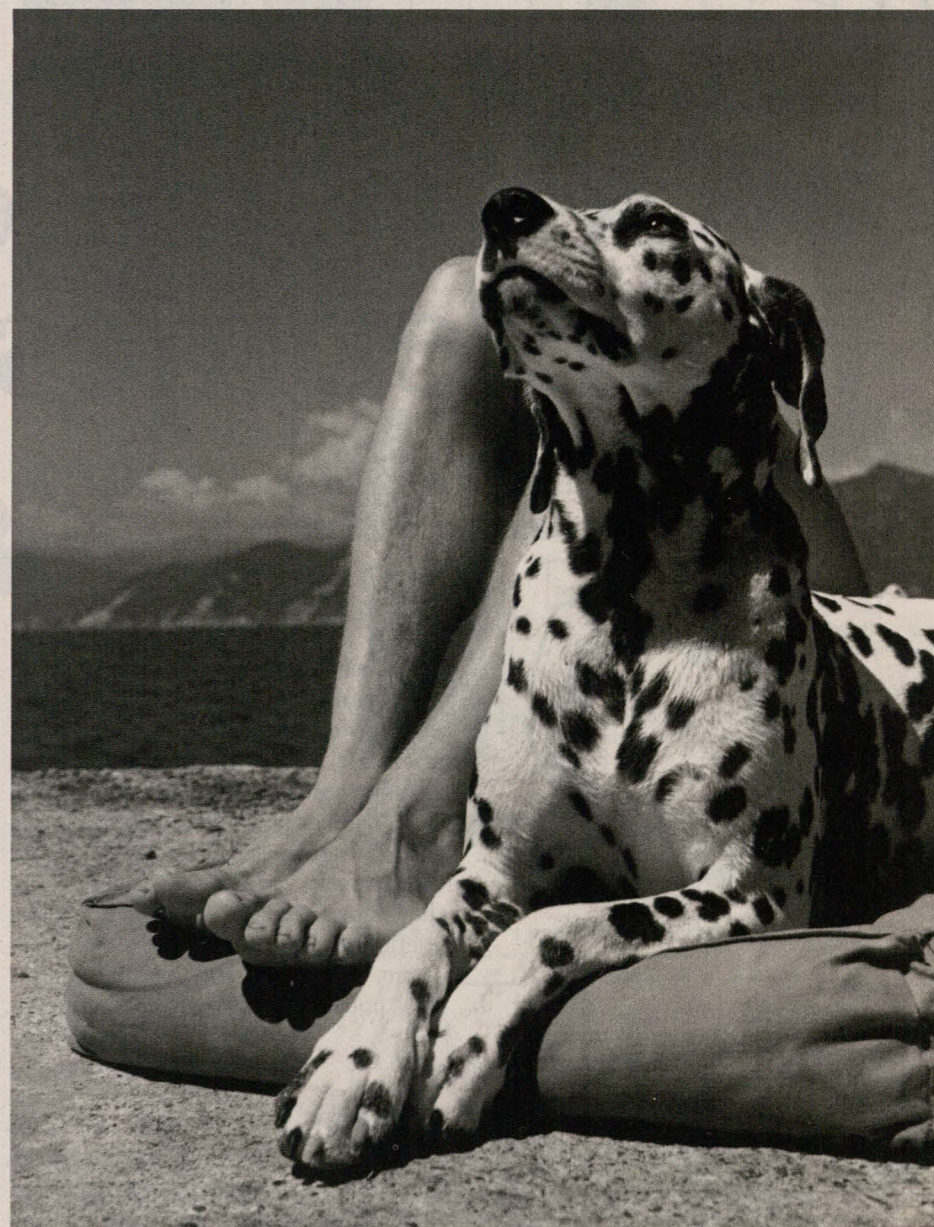
Romantyczne wizje ciepłych mórz, szczypta awangardy i homoseksualnej erotyki. Herbert List robił swoje i wygrał

KUBA DĄBROWSKI

H amburg, rok 1936. Herbert List ma 33 lata, pochodzi z bogatej przemysłowej rodziny i pracuje w jednym z należących do rodziny przedsiębiorstw – zajmuje się importem kawy. Często wyjeżdża w egzotyczne podróże służbowe: Brazylia, Jamajka, Kostaryka, Gwatemala... Oprócz kontraktów i wspomnień zawsze przywozi ze sobą masę własnych zdjęć. Nie mają one wiele wspólnego z typowymi turystycznymi migawkami. To kadry raczej eleganckie, wyestetyzowane i mieszczące się we współczesnej, modernistycznej konwencji. Martwe natury, portrety poznanych na plażach chłopaków, mnóstwo geometrii, gra cieni. Z jednej strony czuć ducha surrealizmu, z drugiej surowość Bauhausu, który właśnie przeżywa swój najlepszy czas.

Swoich zdjęć List nie wystawia ani nie publikuje w prasie, za to często pokazuje je zaprzyjaźnionym fotografom – na przykład Andreasoowi Feiningerowi. Koledzy dają mu dobre rady – jakiego sprzętu używać, którą wystawę odwiedzić, jaką książkę przeczytać. W środowisku wiadomo, że List zajmuje się fotografią i że jest w tym bardzo dobry. Rosnący w siłę nazizm gwałtownie kończy przyjemny styl życia importera kawy. Fotograf amator jest antytezą promowanego przez nowy system obywatela – to artysta, homoseksualista, Żyd. Mężczyzna wyjeżdża do Paryża.

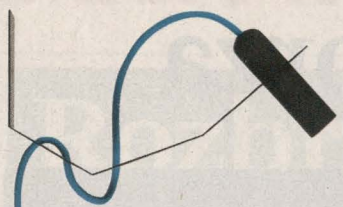
W stolicy Francji znajomy fotograf, legenda fotografii mody – George Hoyningen-Huene – załatwia Listowi pracę w magazynie mody „Harper’s Bazaar”. Imigrant realizuje kilka miodowych zleceń. Radzi sobie dobrze, ale szybko dochodzi do wniosku, że to jednak nie dla



niego. Żle czuje się, kiedy ktoś od niego czegoś wymaga, kiedy musi pracować w większym zespole i realizować czyjąś albo co najwyżej wspólną wizję. Postanawia spróbować wbić się na fotograficzny rynek z innej strony, topniejące na emigracji fundusze inwestuje w podróże do Grecji i Włoch.

Podczas wypraw robi zdjęcia dokładnie takie, jakie robił podczas służbowych wyjazdów. Po powrocie nie tylko pokazuje je znajomym, ale także sprzedaje je do magazynów, agencji,

prezentuje kuratorom. Reportaże o „codziennym życiu” publikują m.in. „Life” i „Harper’s Bazaar”, martwe natury, wysmakowane pejzaże i homoerotyczne portrety fotograf zaczyna wystawiać w galeriach. Układają się w romantyczną wizję odchodzącego, a może tak naprawdę nigdy nieistniejącego eleganckiego i dobrego świata. U progu wojny publiczność bardzo potrzebuje takich obrazów, List szturmem zdobywa paryskie, a później światowe salony.



ŁADNE RZECZY

Wszystko, czego potrzebujesz

Czyli jak przedmioty codziennego użytku pomogą nam zrozumieć sztukę



Przekrojowy zegar (faworyt redakcji) zrobiony z pomalowanego drewna



Czyżby ktoś tu poległ w walce o sens z meblem? Patrzcie na szafkę Wood Hunt i zgadujcie!

OLA SALWA

Jest niewiele rzeczy, które psują nam humor. Jedną z nich jest oglądanie artefaktów nowoczesnej sztuki. Zastydza nas, że zupełnie nie rozumiemy jej języka. Postanowiliśmy się jednak nie poddawać. Zamiast poprosić o korepetycje znanego kuratora, sięgamy po to, co zawsze mamy pod ręką. Przedmioty. Za tymi dobrze zaprojektowanymi stoi wszak myśl, a szukanie jej jest intelektualną zabawą w ciepło-zimno, w której nagrodą będzie komfort podczas kolejnej wizyty w muzeum.

Nie można jednak wybrać zupełnie przypadkowych rzeczy, bo te zbyt proste dadzą nam fałszywe poczucie pewności. Z kolei te zbyt skomplikowane oraz abstrakcyjne sprawią, że poczujemy się nieadekwatni i już do końca życia będziemy oglądać tylko klasyczne malarstwo oraz rzeźbę. Idealny trening proponuje nam słowackie studio ALLT, czyli All That, którego nazwę tłumaczymy sobie dziś jako „Wszystko, czego potrzebujesz”. Zadanie pierwsze: lampy Manual Light z wiadrem w roli klosza. Zaczynamy ciąg skojarzeń: wiadro, robotnik, podnoszenie,



Cityscapes, czyli chodnik do muzeum

wysiłek, światło, lekkość. Interpretacja: ciężką fizyczną pracę można zastąpić błyskotliwymi ideami. Projektanci z ALLT dodają w eksplicacji, że oto najcięższa praca już została za nas wykonana, bo mamy w domu lekki, gotowy produkt. Zadanie drugie: lampa Who Is Watching You. Tutaj dostajemy podpowiedź już w nazwie przedmiotu, przypominającego wyglądem kamerę przemysłową. Designerzy chcieli nas oświecić w sprawie prywatności, ograniczonej rzekomo dla naszego własnego bezpieczeństwa. Z kolei ptasie wieszaki Home Hangers to po prostu zabawa językowa – chodzi o gołąbki (w) pokoju. Szafka Wood Hunt z frontem rozdrapanym przez straż-



Ciepła symbolika. Kropka na abażurze tworzy wizerunek słowackich bóstw

Manual Light, czyli jak dobrze, że nie biegamy już do mieszkania z wiadrem węgla



Drewniana kanapa Low Stack: możesz dokładać do niej drewnienka i zabierać je

KRZYŻÓWKA NR 4

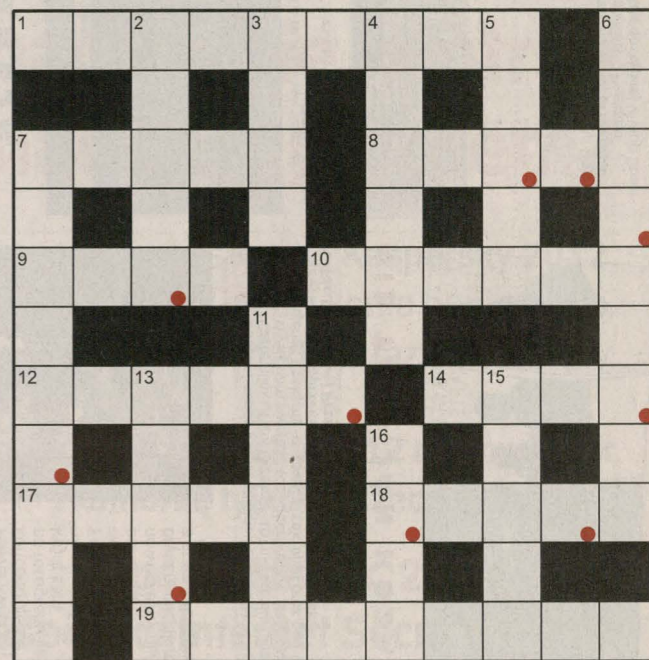
Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz rozwiązanie.

POZIOMO:

1. NASTUKAŁ SIĘ W PRACY
7. GRZECH NIE ZIEŚĆ
8. DŹWIĘKI WYDAWANE PRZEZ WALENIE
9. SIKORKI LUBIĄ JEGO MIĘSO
10. JEDNOSTKI ODWAGI
12. CZWARTY CZAS
14. ROZPYCHA SIĘ W DRZWIACH
17. DOBRY W ŁÓŻKU
18. WRZASK NAUCZYCIELA
19. SZERSZY HORYZONT

PIONOWO:

2. WABIDAMEK
3. ODMIENIA ŻYCIE PRZEZ PRZYPADKI
4. CIEPŁO-CIEPŁO, ZIMNO-ZIMNO
5. DWA ZERA
6. FARBY NA PALETACH
7. MLEKO I PLACKI
11. O STÓWĘ WARYŃSKIEGO
13. GÓRA Z GÓRĄ
15. LENIWE Z SEREM
16. NOSI BĘBENEK



ROZWIĄZANIA Z NR. 2

Krzyżówka: KROPKA NAD I

Poziomo:

1. TRAPEZ DO ĆWICZEŃ – CZWOROKĄT
7. ZALEŻY OD POPARCIA – PORÓD
8. ZADNA NIE HAŃBI – PLACA
9. CZASAMI NIE WYPADA – DYSK
10. ROZMOWA KONTROLOWANA – DEBATA
12. GRZEJE ŁAWĘ – ŁAWNIK
14. NIE LUBI ŻEBEREK – ZDUN
17. JEDEN PO DRUGIM – DESER
18. ZOSTAJE W SZKOLE PO LEKCJACH – ŁAWKA
19. MAMKA KRÓLÓW – PIASTUNKA

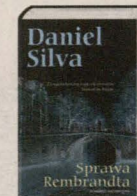
Pionowo:

2. KŁADZIE DZIECKO DO ŁÓŻKA – WIRUS
3. RYBA W KAPELUSZU – RYDZ
4. IDZIE NA PIWO – KAPSEL
5. DROGA LINII – TRASA
6. OLEJ BIZNES – SMAŻALNIA
7. W ZAKŁADZIE KARNY – PODWŁADNY
11. DIABLA WARTA – SIARKA
13. PIASEK Z WORKA – WYSYP
15. MÓWI GŁOSEM SERCA – DZWON
16. ARSENAŁ WESELYNY – PIŁOT

LAUREACI Z NR. 1

Monika Danielewicz, Warszawa; Monika Kochmańska, Lubin; Jędrzej Nadolny, Wrocław; Ewa Pecold, Łódź; Mariusz Pietras, Kielce; Lidia Podczerwińska, Zakopane; Janusz Puszcza, Tarnobrzeg; Małgorzata Rugieć, Gdańsk; Ola Wieteska, Łódź; Jan Zaleski, Łódź

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



Nagrodą w tym tygodniu jest nowa powieść Daniela Silvy, mistrza thrillerów szpiegowskich www.muza.com.pl



Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij sms o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243.

Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: Presspublica Sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 4”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 29 stycznia 2012 r. Koszt sms-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

BRACIA M BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ

[WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER](http://www.facebook.com/wilqsUPERBOHATER)



POLSKIE KORZENIE STEVENA SPIELBERGA

Wirusy pozbawiły Cię kontroli nad komputerem?

Zainstaluj najnowszą wersję programu antywirusowego Kaspersky 2012. Broń się przed wirusami, bezpiecznie korzystaj z sieci i konta bankowego. Chronь też zawartość swojej komórki w razie kradzieży.

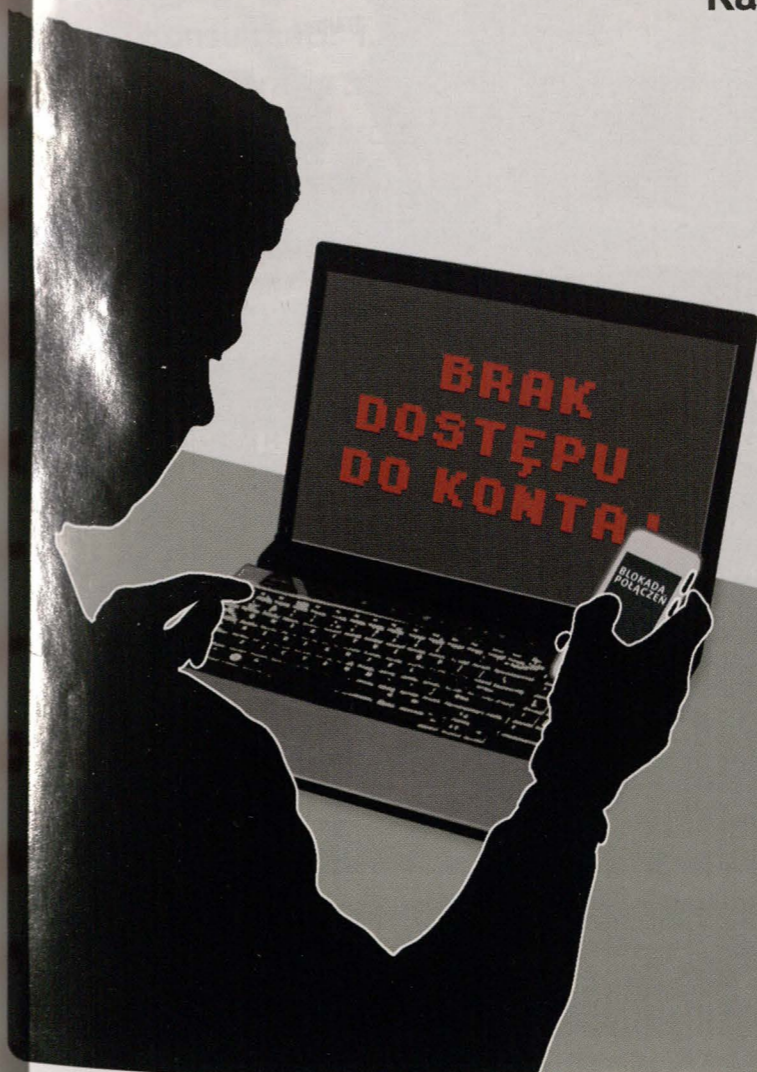
Komplet zabezpieczeń Kaspersky 2012 na komputer i komórkę tylko z „Rzeczpospolitą”:

W poniedziałek, 23 stycznia
Kaspersky Internet Security 2012

We wtorek, 24 stycznia
Kaspersky Mobile Security 9.0



Wydania z płytami dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.



RETRO SPEKCA

WASKA SPECJALIZACJA
Sylwia z Opawian
SPOŁOZNIENIA, DOKONNICZO-PSZCZELIŃSKA W OPATOWIE
PUNKT SKIPU OPATÓW

Przelecieł to już skądinąd, edyta Indulka, co? (fotografię: K. Kuchta)
„PRZEKRO” z 21.01.1962

SIEMONIA ZIMAN
Chybaż nie...
„Przekro” z 23.01.1972 (na dole)

Ach! walne numery „Przekro” (nawet powłino się) przeczytać na www.przekro.pl oraz w aplikacji „Przekro” na iPadzie dostępnej w App Store

TWÓJ PRZEKROJ



Paweł Kwicień koncentruje się na fotografii, którą sam nazywa „uliczną”. Fascynują go gnydci, kontrasty, nowoczesnymi bryłami miejskimi a starą zabudową. Zdolny i miłody (duchem, a nawet ciałem) Cytelniku. „Twój Przekroj” to miejsce dla Ciebie. Wyszli nam swoje prace i pociwali się. Najlepsze opublikujemy. Czekaamy na www.przekro.pl oraz pod adresem: twójprzekrojo@p.pl, a także na Facebooku - Fan Page „Twój Przekroj”.

NIE TAK: JAN KOZA



KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA

Dzieweczyna z tatuażem
(czyli rzeczywistość postulowana)
Wstępuje wielokrotnie nagradzana ROMA GASIOROWSKA oraz wielokrotnie skazany WŁASCICIEL SALONU TATUAŻU
Miejsce: podfrzane, ciemne, złe.
Czas: tuż przed rozdzieleniem Złoty Chęć.
Cisnienie: ogromne.

ROMA GASIOROWSKA
(znad katalogów):
Ten! I żeby był w kolorze!
WŁASCICIEL SALONU
(znad igły):
Jest pałenka pewna?
ROMA GASIOROWSKA:
(nachalnie nadstawia topatkę)
WŁASCICIEL SALONU:
(kręci z pobieżaniem głowę, po czym tatuuje na topatce Gasiorowskiej wielkiego różowego słońca)

KURTYŃNA opada z ulgą.
Brawa. Gratulacje. Muzyka.

MYŚLNIK KRZYSZTOFA BILICY

Testy ludzkości popemni samobójstwo, niekt jej nie pochowa.

ROMAN KURKIEWICZ

Strzał ratunkowy ze skutkiem śmiertelnym

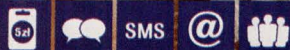
Przygotowania do Euro 2012 gnają na łeb, na szyję. Łeb w łeb z nimi idą prace nad strzałem w łeb, żeby snajper miał po co żyć



Zęsto ostatnio słyszę, że żeby coś robić dobrze, warto popatrzeć na sukces innych, z którymi mogę nie do końca podzielać jakies poglądy. Idąc za tą sugestią, sięgnętem po najnowszy numer „Polski Zbrojnej”. Nie zawiodłem się, inny świat. Inne słowa. Inna Polska (bądź co bądź Zbrojna). A tam radylkahna, nazwana niezawodną, rekomendacja do zmiany artykułu 17 ustawy z 6 kwietnia 1990 r. o policji. Sens zmiany zasadza się na pomysł, żeby nie obowiązywał wiążący zapis o następującym brzmieniu: „Użyte broni palnej powinno następować w sposób wyrządający możliwie najmniej szkodę osobie, przedwiko której użyciu broni palnej”. Teraz policjant dysponujący „mśaczymi środkami uzbrojenia”, czytaj: tzw. snajper policyjny, mógłby abstrahować od tego zalecenia ustawowego. Żeby wesprzeć zamysł poszerzający uprawnienia władzy, policji, aparatu przemyocy czy sprawiedliwości, trzeba wymyślić nowe słowo do nazwanca projektu. Tak żeby broni Boże (zbrojnie) nie kojarzyło się z tym, czym jest, a sprzedawało fałszywą filozofię wszechopiekunczości i bezpieczeństwa.

Jak więc nazywa się strzał snajpera w głowę kogoś, kogo policja postanowi odstrzelić, zamiast zatrzymać, przesłuchać, oddać prokuratorowi, który może go oskarżyć, a sąd wydać wyrok? To się nazywa „Strzał ratunkowy ze skutkiem śmiertelnym”. Jak to mówią stany dowcip lekarzy: operacja się udaje, tylko pacjent zmarł. Jestem w stanie zrozumieć, że trudno nawet inicjatorom takiej zmiany nazwać nowe prawo prawem do zamordowania kogoś z dużej odległości na rozkaz przelotnego. Ale to za mało. Egzekucję nazywa się ratunkiem. Bo to dla naszego dobra. Europejskiego. Atlantyckiego. Rekomendację do tej orwellowskiej zmiany (na poziomie języka) przedkłada Stowarzyszenie Euro-Atlantyckie. W skład tej formacji intelektualnej wchodzi także tuzy policyjki polityki jak Władysław Bartoszewski, Janusz Onyszkiewicz, Longin Pastusiak, Dariusz Rosatti, przewodzi Marek Goliśzewski. Taki ponadpartyjno-narodowościowo-biograficzny team. Puknijmy się w łeb, zanim zaczęliśmy dawać robotę snajperom na Euro 2012. Bo chociaż o Euro szybko zapomnimy, strzały ratunkowe z nami zostaną na długo. Na bardzo długo. A cele mają to do siebie, że uwielbiają się pojawiać.

All Inclusive



Z Play Fresh wspierasz program
WOŚP Ratujemy i Uczymy Ratować
– naukę pierwszej pomocy wśród dzieci

Każde Twoje doładowanie to dodatkowe 5% przekazane
na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy.

Włącz usługę Wspieram WOŚP, wysyłając SMS o treści
TAK pod bezpłatny numer 8070.

Graj z nami!

www.play.pl
Najszybciej rozwijająca się sieć w Polsce.

PLAY

fresh

Więcej informacji odnośnie usługi Wspieram WOŚP na www.play.pl.
Usługa Wspieram WOŚP wymaga comiesięcznego potwierdzania chęci uczestnictwa w akcji w formie wiadomości SMS opisananej powyżej.
Usługa jest dostępna jedynie w wybranych ofertach na kartę w Play. Szczegóły w regulaminie usługi dostępnym na www.play.pl. Usługę można włączyć w okresie od 15.12.2011 do odwołania.

